MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 32. WARSZAWA, 10 SIERPNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZABORCY NA CUDZEJ ZIEMI

(O NIEMIECKIEJ DZIAŁALNOŚCI NISZCZYCIELSKIEJ W TAK ZWANEJ MARCHJI WSCHODNIEJ)

CAŁĄ prasę polską obiegła w ostatnich tygodniach wzmianka, przypominająca w związku z rocznicą plebiscytu warmińskiego, dokonany w r. 1921 przez Niemców akt wandalizmu, polegający na starciu z frontu gmachu akademji duchownej w Bruniewie (Braunsberg) na Warmji, napisu, wykazującego związek tej akademji—*Lyceum Hosianum* — z osobą jej założyciela, — jednej z najznakomitszych postaci w świecie kotolickim w epoce reformacji, biskupa warmińskiego, kardynała Stanisława Hozjusza. Opinję polską wstrząsnął boleśnie ten - nie nowy wprawdzie, lecz w swoim czasie, w epoce zamętu powojennego, uszły uwadze społeczeństwa polskiego — wybryk niemieckiego szowinizmu, pragnącego na ziemiach polskich, wchodzących dziś w skład Rzeszy Niemieckiej, zatrzeć wszelki ślad polskiej przeszłości tych ziem.

W ostatnich czasach, dość często, opinja polska była alarmowana podobnemi faktami — i jest o ujawnionej tendencji niemieckiej zniszczenia wszystkiego, co z polskiego dorobku w „Marchji Wschodniej" jeszcze zniszczone nie zostało — naogół poinformowana dokładnie. Ale nie zaszkodzi dla uplastycznienia tej tendencji, fakty te, podawane dotąd w oderwaniu, — opinji publicznej sprezentować łącznie,—w wykazie, który obyż się nie okazał niekompletnym.

W r. 1928 zburzono stary zamek Piastowski w Opolu. Ten akt wandalizmu, przeprowadzony dla usunięcia zabytku, świadczącego o rządach polskiej dynastji na Śląsku — na wniosek prezesa regencji, zatwierdzony przez ministerstwo Spraw Wewnętrznych Rzeszy—był czemś tak jaskrawem, że wywołał szereg protestów nawet ze strony licznych czynników niemieckich: obywateli miasta, magistratu i prasy różnych odcieni. Dziś z tego cennego zabytku, którego sylwetka jest tak zrośnięta z obrazem Opola, jak sylweta kościoła Marjackiego z obrazem Krakowa, a sylweta kolumny Zygmuntowskiej z obrazem Warszawy—pozostała tylko samotnie stercząca, grożąca, wobec usunięcia podpierających ją murów, zawaleniem wieża. Podobno i jej dni są policzone.

Górny Śląsk słynie z pięknych, charakterystycznie polskich, starych kościołków drewnianych,—tego samego typu, co kościołki na Podhalu i w całej Małopolsce. W ostatnich czasach krążą na Śląsku głuche wieści, że czynniki niemieckie— nie mogąc ścierpieć widoku tych zabytków, nadających śląskiej wsi piętno polskiej stylowości—zamierzają (na tej części Śląska Górnego, która należy do Niemiec) przeprowadzić stopniowe zburzenie tych kościołków, motywując to potrzebą pobudowania obszerniejszych i rzekomo piękniejszych kościołów murowanych.

Gdańsk (węzłami polityczno - prawnemi związany wprawdzie z Polską, lecz na wewnątrz rządzony w duchu szowinistycznie niemieckim) jest miastem wyjątkowo bogatem w historyczne i artystyczne zabytki polskie, — ściąga też niemało polskich turystów, pragnących te zabytki oglądać. Niestety, w ostatnich czasach turystów tych napotyka w Gdańsku coraz więcej rozczarowań.

Wciąż się powtarzającym motywem w architekturze gdańskiej są polskie emblematy herbowe: tarcza z białym orłem, a po jej bokach mniejsze tarcze z herbem dzielnicowym: orłem Prus Królewskich i herbem miejskim: dwoma krzyżami i koroną. Tymczasem w ostatnich czasach coraz częściej się zdarza, że jakaś barbarzyńska ręka orły polskie przemalowuje... na czarno. Jako przykład możemy tu wymienić bramę Panieńską (*Frauentor*), przemalowaną w r. 1927, oraz bramę Kramarską (*Häckertor*) nad Motławą i kamienicę Ferberów (Langgasse 28). W ratuszu, w t. zw. Zimowej Izbie Radnej usunięto polskiego orła ze sklepienia, a w sali Czerwonej orła rzeźbionego na drzwiczkach skrytki w ścianie. Z Dworu Artusa usunięto portret króla Stanisława Leszczyńskiego. Z kapli-

cy Sobieskiego, portret tego króla przeniesiono w zakątek plebanji. W domu Uphagenów (*Langgasse* 12) ukryto gdzieś i nikomu się nie pokazuje dotychczas stale turystom okazywanej złotej tabakiery z portretem króla Stanisława Augusta, ofiarowanej przezeń Janowi Uphagenowi za jego lojalność wobec Polski, okazaną po drugim rozbiorze.

Do tej samej kategorji wandalizmu należy błędne informowanie o znaczeniu rozmaitych nie zniszczonych dotąd zabytków polskich w Gdańsku. Tak np. O. Kaufmann w rozprawie p. t. „*Der Fahnenträger auf dem Rathausturme in Danzig*“ (1922) głosi, że znana statua króla Zygmunta Augusta na wieży ratuszowej (pochodząca z r. 1561), to nie żaden Zygmunt August, bo zwyczajny „*Fahnenträger*“. O medaljonach z popiersiami króla Zygmunta III i królewicza Władysława, umieszczonych w r. 1617 po obu stronach drzwi, wiodących do Dworu Artusa, niemieckie przewodniki turystyczne po Gdańsku coraz częściej twierdzą, że wyobrażają one cesarza Karola V i jego syna Don Juana d'Austria. O niewielkiej statui Kazimierza Jagiellończyka, postawionej we Dworze Artusa na pamiątkę przyłączenia Gdańska do Polski w r. 1454, — statui, pod którą jest wyraźny napis „*Rex Casimirus*“ — słyszy się od przewodników, oprowadzających po Dworze Artusa, że to figura— króla Artusa.

Zabytki polskie w Gdańsku są wprawdzie zbyt dobrze zinwentaryzowane, by ich zniszczenie mogło oznaczać zniweczenie i pamięci o nich — niemniej jednak systematyczne ich usuwanie, polski w znacznym stopniu charakter sztuki gdańskiej stopniowo — z wielką szkodą dla prawdy artystycznej i dziejowej—przyciemnia.

Tyle o aktch wandalizmu jaskrawszych i bardziej znanych. Akty takie dokonywane są— z prawdziwie podłą, małostkową złośliwością — po prowincjonalnych zakątkach, — wszędzie, gdzie była po temu okazja, nieusunięta jeszcze przez z górą stuletnią, pruską działalność niszczycielską od chwili rozbiorów. Tak np. w Babimoście (Bomst), wielkopolskiem miasteczku, pozostawionem (mimo licznego polskiego zaludnienia w mieście i w okolicy) przez traktat wersalski przy Niemcach, usunięto w r. 1929 polskiego orła (żelaznego), znajdującego się u szczytu wieży ratuszowej. W kościele parafjalnym w Złotowie (Flatow) — tem centrum polskości na zachodniem pograniczu, stolicy powiatu, w którym w ciągu roku powstało 19 polskich szkół prywatnych,—proboszcz ks. F. Gollnick polecił w r. 1928 wypruć z paramentów kościelnych, pochodzących z darów, wszystkie napisy polskie. Ileż podobnych faktów dziać się musi po wioskach, — wymykając się z pod możności ich zanotowania!

Ale nie dosyć na tem. Wybitnym dowodem polskości ziem, stanowiące dziś wschodnie okręgi Niemiec, są nazwy miejscowości. To też władze niemieckie uwzięły się, by nazwy te z mapy geograficznej usunąć. Co tylko nie zostało przechrzcone wcześniej (pamiętamy te istne orgje zmian nazw miejscowości w zaborze pruskim przed wojną) to jest pośpiesznie przezywane „*echt deutsch*" — teraz. Oto spis zmian nazw miejscowości, dokonanych w ciągu ostatnich lat paru, oparty na niemieckich danych urzędowych. (Nazwy dotychczasowe podajemy w oryginalnej, urzędowej pisowni; ich prawidłowe, polskie brzmienie każdy sam łatwo odgadnie).

Oto zmiany nazw w Prusach Wschodnich:

1) W powiecie Oleckim: Miasto Marggrabowa (dawne Oletzko),—na Treuburg; wieś Gross-Czymochen na Reuss, Puchowken na Wiesenfelde.

2) W powiecie Ełckim (Lyck): Przypiorken na Wachteldorf, Orzechowen na Nussberg, Szczeczynowen na Steinberg, Skrzypken na Geigenau, Pissanitzen na Ebenfelde, Przykopken na Birkenwalde, Krolowolla na Königswalde, Pientken na Blumenthal, Jesziorowsken na Seedorf, Panistruga na Herrnbach, Dombrowsken na Eichensee, Przytullen na Seefrieden, Schikorren na Wellheim. Piasken na Kl. Rauschen, Gorczitzen na Däumenrode, Marczynowen na Martinshöhe, Burnien połączone w jedną gminę z Krzysewem na Kreuzborn, Alt-Czymochen na Finsterwalde, Czernien (Ciernie) na Dornenthal.

3) W powiecie Szczycieńskim (Ortelsburg): Rudziska na Rudau.

4) W powiecie Leckim (Lötzen): Marczynawolla na Martinshagen, Mrowken na Neuforst, Klein Konopken na Waldfliess, Wierczeyken na Gregerswalde, Jesziorken na Preussenburg, Slabowen na Langewiese, Klein-Krzywen na Grünsee, Grzybowen na Birkensee, Pieczonken na Grünau.

5) W powiecie Ządzborskim (Sensburg): Krzywiński na Kriewen, Gross-Kamionken na Gross-Steinfelde, Klein Bagnowen na Bruchwalde, Kotzargen (Koczarki) na Eichhöhe, Prawdowen na Wahrendorf, Pruschinowenwolka na Preussenost, Grakowken na Buchengen, Mniodunsken na Immerhagen, Schlösschen-Iwanowen na Schlösschen, Bagnowenwolka na Tiefendorf, Budzisken na Wachau, Schwiegnainen-Ladnepole na Schönfeld.

6) W powiecie Jańsborskim (Johannisburg): Osczywilken (Ożywiłki) na Wolfsheide, Dombrowken na Eichendorf, Balamutowo na Fechnen.

7) W powiecie Węgoborskim (Angerburg): Jakunowen na Angerthal.

8) W powiecie Olsztyńskim (Allenstein): Lapka na Pfotendorf, Pokrzywen na Ammberg.

9) W powiecie Reszelskim (Rössel): Bodzianowo na Buchenthal.

10) W powiecie Sztumskim (Stuhm): Mlecewo na Heinrode.

11) W powiecie Kwidzyńskim (Marienwerder): Dubiel na Neuwalde.

Tyle w Prusiech Wschodnich. W Pomeranji (na Pomorzu Pruskiem) zmieniono w ostatnich czasach nazwy dwuch wsi w zamieszkanym przez Kaszubów powiecie Bytowskim (Bütow): Trzebiatkow na Radensfelde i Czarndomerow (Czarna Dąbrowa) na Sonnenwalde. Na Pograniczu (t. zw. „*Grenzmark Posen - West - Preussen*“) pozmieniano w powiecie Złotowskim (Flatow) wsie: Dollnick na Wittenburg, Podruschna na Preussenfeld, Gluptschin na Steinau i Buntowo na Seefelde. Ponadto nazwa stacji kolejowej Zakrzewo została zmieniona na Buschdorf,— przyczem jednak nazwy wsi Zakrzewo, od której stacja wzięła miano, zmienić się nie dało z powodu stanowczej postawy ludności. (Wieś Zakrzewo jest znaną twierdzą polskości, — do miejscowej prywatnej szkoły polskiej uczęszcza zgórą 140 dzieci). Na Śląsku Opolskiem w powiecie Raciborskim (Ratibor) wsie Ganiowitz i Gregorsowitz (Ganiowice i Grzegorzowice) połączone zostały w jedną gminę pod nazwą Gregorsdorf. Warto przypomnieć, że jeszcze nie tak dawno, bo w r. 1915, jedno z największych miast Śląska Opolskiego, mianowice Zabrze, przemianowane zostało na Hindenburg.

Obawiamy się, że powyższy spis nie jest kompletny.

Dążność niemiecka do zatarcia śladów polskości na ziemiach, należących dziś do Niemiec, idzie tak daleko, że zmieniane są nazwy miejscowości nawet na terytorjum już prawie całkowicie zniemczonem, mianowicie na Śląsku Wrocławskim. Oto wykaz tych zmian, — pochodzący coprawda nie z kilku, lecz kilkunastu lat ostatnich, mianowicie z okresu po roku 1912:

1) W powiecie Namysłowskim (Nawslau): Brzezinke na Schindlersfelde.

2) W powiecie Milickim (Militsch): Gross-Tworsimirka na Eichdorf, Semeisnow na Seemannshof, Pinkotschine na Neuwalde.

3) W powiecie Nowotarskim (Neumarkt): Klein Pogul na Oderdeich, Polnisch Baudis na Baudis, Polnisch Schweinitz na Schweinitz.

4) W powiecie Trzebnickim (Trebnitz): Tschahawe na Bolkerhof, Polnischmuehle na Pausenhof.

5) W powiecie Oławskim (Ohlau): Polnisch Breile na Breile, Polnisch Steine na Odersteine.

6) W powiecie Szonowskim (Schoenau): Polnisch Hundorf na Hundorf.

7) W powiecie Zielonogórskim (Gruenberg): Polnisch Kessel na Altkessel, Polnisch Nettkow na Schlesisch Nettkow.

8) W powiecie Niemodlińskim (Falkenberg): Polnisch Leipe na Neu Leipe.

9) W powiecie Żegańskim (Sagau); Polnisch Machau na Machenau.

10) W powiecie Ziembickim (Muensterberg): Polnisch Peterwitz na Petershagen.

11) W powiecie Kożuchowskim (Freystadt): Polnisch Tarnau na Tarnau.

Ponadto w ostatnim czasie wszczęta została we Wrocławiu kampanja prasowa za zmianą nazwy góry Zobten na Silling. Proponowana zmiana motywowana jest tem, iż nazwa dotychczasowa (w dawnych dokumentach brzmiąca „Czobota“, — „*mons, castrum Czobota*“, „*Szobotha oppidum*“), którą początkowo oznaczano jedynie położone u stóp góry miasteczko, jest pochodzenia polskiego.

Jak widzimy wykaz zmian jest olbrzymi. Ilekroć się z polskiej strony dokonywanie tych zmian Niemcom wyrzuca—słyszy się w odpowiedzi argument, że i Polacy mnóstwo nazw pozmieniali: Hohensolza zamienili na Inowrocław, Neustadt in Westpreussen na Wejherowo i t. d. Z argumentację podobną niepodobna jest polemizować. Każdy wie, że Inowrocław czy Wejherowo nazywały się tak od wieków, że Polacy, a nieraz i starsze pokolenie stale osiadłych w danych miejscowościach Niemców, nigdy nie przestali nazw tych używać— i że zmiana nazw oficjalnych, dokonana przez Polskę była tylko usunięciem sztucznych, narzuconych nazw, miejscowościom tym obcych i przywróceniem prastarych nazw polskich. Każdy wie również, że jeśli — w wyniku kolonizacji niemieckiej—zjawiła się na ziemiach polskich tu i ówdzie od początku niemiecka nazwa miejscowości, — tak jak Rabsztyn, Czorsztyn, Olsztyn, oraz Dyneburg,— nikomu w Polsce nie przychodzi do głowy zamiar jej usunięcia. Podobnie niedorzeczne byłoby porównywanie usunięcia emblematów państwowych niemieckich czy rosyjskich z gmachów państwowych, czy też innych świeżych i drażniących symbolów obcego panowania u nas ze zniszczeniem np. polskich orłów w Gdańsku, mających za sobą patynę wieków i będących nietylko symbolem polskości — lecz i zabytkiem sztuki i szacownemi pomnikami dziejów.

Skądże się bierze ta zaciekłość Niemców w niszczeniu wszystkiego co polskie? Ekspansja jednego narodu na ziemiach, które należały niegdyś do drugiego jest zjawiskiem częstem i nieuniknionem, — dyktowanem przez prawo życia, które zmusza żywotne zbiorowiska etniczne do rozszerzania swego stanu posiadania. Ale ilekroć ta ekspansja jest istotną koniecznością; ilekroć dokonywa się jako proces naturalny i żywiołowy— tylekroć powoduje narodzenie się w plemieniu zwycięskiem miłości dla ziemi nabytej wraz z całą jej przeszłością i dotychczasowem zaludnieniem. Twórczość cywilizacyjna przybyszów splata się wówczas harmonijnie z dorobkiem miejscowym, — nie niszcząc tego dorobku, lecz go pomnażając i bogacąc. Tak jest na ziemiach litewskich, czy ruskich, wchłoniętych przez Polskę, tak jest w gaelickiej Szkocji, wchłoniętej przez naród angielski, tak jest nawet na ziemiach zachodnio słowiańskich (w Meklemburgji naprzykład), organicznie zasymilowanych przez Niemcy. Nawet w krajach, gdzie ekspansja — dyktowana koniecznościami demograficznemi — dokonywała się przy użyciu brutalnej siły, wiąże się ona — jeżeli istotnie była ekspansją nieuniknioną i uzasadnioną—z głębokim sentymentem zwycięsców dla zwyciężonych i z dążnością do ułożenia jakiegoś *modus vivendi* między wymogami nowej egzystencji przybyszów, a pozostałościami samoistnego życia autochtonów. Ileż pietyzmu wkłada społeczeństwo anglosaskie Stanów Zjednoczonych w kultywowanie szczątków przeszłości indyjskiej, — z jakimże sentymentem mówiąca po hiszpańsku, biała ludność Meksyku czy Peru odnosi się do wspomnień starych cywilizacyj Azteków czy Inków!

Zupełnie inaczej odnoszą się do krajów zdobytych narody, których ekspansja nie była dyktowana koniecznością, nie dokonywała się jako proces organiczny, żywiołowy i nieunikniony, a była jedynie przejściowym etapem chwilowej konjunktury i niczem nieusprawiedliwionym aktem gwałtu. Narody te nie czują się związane z ziemią zdobytą, nienawidzą jej, nie rozumieją jej, boję się jej,— czuję się na niej, jak na rozpalonych węglach. Taka była np. ekspansja Rosji w Polsce, w Finlandji, na ziemiach nadbałtyckich, na Kaukazie. Rosja nie wnosiła w życie tych ziem nic twórczego, — niszczyła tylko ich odwieczny dorobek cywilizacyjny, hamując ich normalny rozwój. Szwecja— gospodarna i twórcza u siebie w Skandynawji, czy w organicznie wchłoniętej Finlandji — na kontynencie środkowo - europejskim, choćby u nas w Polsce, zaznaczyła swą obecność przed paru wiekami istnym pochodem zniszczenia.

Niemcy nie mają sentymentu do ziem, zwanych przez nich Marchją Wschodnią, skoro nie kultywują wspomnień ich przeszłości. Składają przez to dowód, że z ziemiami temi się nie zżyli, że się na nich czują obco. — że panowania swego na tych ziemiach nie uważają za ugruntowane, ani za słuszne,—tak słuszne, by nie wymagało usprawiedliwienia przez falsyfikaty. Postępują sobie na nich nie jak synowie i gospodarze, kochający swój kraj takim, jakim jest, lecz jak przybłędy z krajem nie związane.

My to widzimy. Widzimy — i nie zapomnimy.

WIEL.

ROZMNOŻENIE BOLSZEWIZMU

NIEMA dnia, żeby nie było można wyczytać w jakim dzienniku radosnej wiadomości o „likwidacji“ jakiegoś „centralnego gniazda“, lub nawet „zarządu“ partji komunistycznej. Cóż bardziej pożądanego? Cieszyłem się więc wraz z innymi, lecz po pewnym czasie zaczęła mnie niepokoić ta codzienność trjumfów policji państwowej. Likwidacja bez końca? A więc cóż jest „zlikwidowanego“? Boję się, czy policja nie ma tu do czynienia z jaką hydrą, której łby odrastają dziwnie szybko, i to wielokrotnie! A w takim razie cóż będzie dalej?

Trjumfalne komunikaty w gazetach o tych „likwidacjach“ przypominają mi pewnego golibrodę żydowskiego z Rzeszowa w Małopolsce. Miasto to słynie z „rzeszowskiego złota“; warto, by zasłynęło także krytycznym zmysłem obserwacyjnym, subtelnością definjowania i mądrością życiową, okazanemi przez jednego ze swych obywateli. W roku wojennym 1915, Lwów był już wzięty, Przemyśl oblegany, czoło armji rosyjskiej zbliżało się pod Rzeszów. Urzędowe biuletyny głosiły oczywiście same zwycięstwa.

Goląc raz pewnego majora austrjackiego, pyta ów golibroda delikatnie, co nowego? Major woła w głos, że wszystko dobrze, zwycięstwo jedno po drugiem! A na to brzytwowładny szeptem: „Ale ja się boję, ja się bardzo boję“...

Zważywszy, że powątpienie wszelkie o zwycięstwie było wówczas dotkliwie karane (aż do szubienicy włącznie), jako „akcja antypaństwowa“, wypada wyznanie bojaźliwości owego żydka rzeszowskiego uznać za dowód odwagi.

Major nastroszył się wielce i wrzasnął: „Co to ma znaczyć? Kto śmie szerzyć defetyzm“?

Żydek w trwodze, jąka się i tłumaczy:

„Nu, rozumie się, zwycięstwa, tylko zwycięstwa, ja się tylko boję, że one są coraz bliżej nas...“

Podobnież i ja, choćbym się miał narazić na podejrzenie „akcji antypaństwowej“, wyznam otwarcie, jako się boję, czy tych „likwidacyj“, nie zadużo? Policja nie może nastarczyć likwidowaniu!

Odnosi się coraz częściej wrażenie, że ilość komunistów wzrasta w jakiejś żywiołowej progresji. Tak jest zresztą w całej Europie, wyjąwszy Włochy. Dopomagają agitacji bolszewickiej biedota z ciemnotą, poparcie Izraela gorliwe i boszewickie złoto, na które pierwsza w swoim czasie złakomiła się Anglja... Ale to wszystko jeszcze sprawy nie wyjaśnia.

Z badań historycznych wyniosłem niezłomne przekonanie, jako nigdy nie powiedzie się sprawa, która byłaby propagowana wyłącznie przez ludzi złych. Złość „mniejszości międzynarodowej“, zwrócona od samego początku przeciwko Polsce i wszelkie przekupstwa i żołdy bolszewickie nie zdołałyby same własnemi siłami nic zrobić, gdyż źli sami nigdy niczego nie wytworzą.

Państwa chrześcijańskie nie mogłyby nic ucierpieć od żydów, gdyby nie było chrześcijan, przejmujących się cywilizacją żydowską, przyjmujących żydowskie założenia i żydowską metodę rozumowania (zwłaszcza prawniczego). A działalność przekupionych stanowi doprawdy minimalną pozycję w bilansie życia publicznego; jest to groźne etycznie, lecz nie w praktyce. Słusznie twierdził znakomity Kalinka, że jeden poczciwy głupiec więcej wyrządzi złego państwu i społeczeństwu, niż setka łajdaków.

Słuszność Kalinki polega tu na tem, iż zło pozbawione jest mocy twórczej, a posiada ją wszelka zacność, poczciwość, choćby... pozbawiona darów Ducha św. Źli nie obejdą się tedy bez poparcia dobrych, lecz... głupich.

Ci poplecznicy poczciwi zła, służą mu przedewszystkiem do tego, żeby je otoczyć opinją dobra i przemycać pomiędzy dobrych, jako coś dobrego.

Spójrzmy uważnie na świat, a zobaczymy, jak złu zależy niezmiernie na tem, by uchodzić za dobro, od tego bowiem zawisło jego powodzenie.

Patrzmyż, jak brutal stara się obmyśleć dla swych gwałtów jakieś wyjaśnienie usprawiedliwiające, żeby wykazane było, jako on przez swe postępki staje się dobroczyńcą współobywateli. Systemów opartych li na samym gwałcie w historji powszechnej wbród, ale każdy z nich dbał o to, by mu nie zabrakło mówców i pisarzy, uznających go za wcieloną sprawiedliwość i potrzebę nieodzowną swego społeczeństwa. Zdzierstwa, bezprawie, terror, zbrodnie wszelkiego rodzaju każą uważać się za zrządzenia i zarządzenia opatrznościowe. Ale gdyby temu nikt nie uwierzył, ilość popleczników zła jakżeż byłaby nikłą!

Kto piął się depcząc wszelką słuszność, ten chce potem, by zdepatana słuszność stanęła po jego stronie i nie uspokoi się, póki nie pojawią się wywody tej słuszności, ułożone przez pochlebców zainteresowanych w pomyślności bezprawia. Gwałtownik gotów sądy rozpędzać, a delję podszyć sobie wyrokami sądowemi (delja ta na nowo w Polsce jest w użyciu!), lecz dąży do tego, by mieć sądy po swej stronie, bo nie zazna spokoju, póki nie będzie mógł obwieszczać na wsze strony, jako on działa właśnie w imię sprawiedliwości.

Czyż bolszewiccy gwałtownicy nie postępują tak samo?

Ponieważ zło nie posiada samo przez się mocy twórczej, należy wzrost i powodzenie komunizmu przypisać temu, iż w propagandzie biorą udział ludzie prawi, zbałamuceni. W Rosji mamy w armji „krasnoarmiejców“ tudzież na urzędach pewien procent (jaki, nikt oznaczyć nie zdoła) ludzi, uznających komunizm za dobro, i wysługujących mu się w imię dobra. Są to t. zw. „ideowi komuniści”. Nie biorą łapówek, żyją w ubóstwie i w porównaniu ze zwyczajną normą życia swych kolegów, wprost ascetycznie; a są dla ludności najgorsi, bo najgorliwsi, nejbezwzględniejsi. Oni to stanowią trzon sprawy komunistycznej, oni czynią możliwemi rządy bolszewickie. Nieznaczny nawet ludzi prawych procent wystarcza, żeby wytworzyć rusztowanie dla gmachu, który wznieść pomagają.

Powodzenie zła oparte jest na ochotnej pomocy, udzielanej tu przez ludzi dobrych, wciągniętych w jego służbę.

I poza Rosją na nic nie zdałaby się najbardziej wytężona agitacja, gdyby nie było już w całej Europie komunistów ideowych. Obawiam się, że ilość ich wzrasta.

Tu ma się ochotę zawołać: Jakimżeż cudem może Europejczyk uznać tak potworną głupotę i głupią potworność za dobro? Przecież to sprze-

ciwia się wszelkim składnikom cywilizacji łacińskiej, chrześcijańsko-klasycznej! Skądżeż tedy? Którędy to wchodzi w organizm do tej cywilizacji przynależny?

Otóż rzeczywiście żadne bolszewizmy do cywilizacji łacińskiej stanowczo przystępu nie mają i mieć nie mogą. Byłoby to niewykonalne, gdyby Europa naprawdę była ta cywilizacją należycie opancerzona. Ależ ona jest podziurawiona jak rzeszoto! Nie z walk bynajmniej, lecz z niedbałości naszej! Są to dziury ze rdzy, z wilgoci, z zaniedbania i t. p. Zepsowana jest ta zbroja nasza wcale nie od zbyt długiego używania, lecz od nieużywania. Pług nieużywany rdzewieje, podobnież zbroja. Wielka rewolucja francuska odrzuciła to i owo z naszej starej, wypróbowanej zbroi cywilizacyjnej, obnażyła nieco naszego korpusu, a potem przez cały wiek XIX obnażało się coraz więcej i coraz jaśniej występowała tendencja, by zbroję łacińską zawiesić na kołku, a w XX stuleciu coraz głośniejsze są wołania, że hańbi się, kto ją przywdziewa! Do lamusa wyganiana, rdzewieje i dziurawi się coraz gorzej.

Żyjemy w czasach mieszanki cywilizacyjnej. Znane to zjawisko; historja wykazuje kilka ciekawych — lecz groźnych — przykładów, od starożytnej Antjochji poczynając, a kończąc („nieprzymierzając") na dzisiejszej Warszawie. Najzaciętsi nawet nieprzyjaciele bolszewizmu rzadko kiedy posiadają umysłowość z jednego kawalca, wyrobioną na wskroś według jednej tylko cywilizacji, mianowicie zachodnio-europejskiej, chrześcijańsko-klasycznej, mówiąc krótko: łacińskiej.

Nie można być cywilizowanym równocześnie na dwa sposoby, a cóż dopiero na kilka sposobów! Cywilizacja wymaga pewnej metody w urządzeniach życia zbiorowego, konsekwencji, jednolitości. Nie można bezkarnie być niby zwolennikiem rodzinnego ustroju społecznego, a równocześnie okładać dziedziczenie po rodzicach podatkami nadmiernemi tak dalece, iż coraz więcej jest dziedziców niezdolnych przyjąć spadku inaczej, jak... z obchodzeniem ustawy. Jeszcze tylko ten podatek podwyższyć, a będzie się to równać zniesieniu dziedziczenia przy majątkach mniejszych. Czy to w duchu naszej cywilizacji?

Cały marksizm wymierzony jest przeciw cywilizacji łacińskiej. Do jakiejże cywilizacji należy państwo, zmierzające do upaństwowienia produkcji, wprowadzając, jako „stan pośredni", urządzanie jak największej ilości fabryk państwowych? A co to za cywilizacja, która każe protegować pornograficzne wybryki sekty marjawickiej? Bywały takie rzeczy, ale w cywilizacjach starożytnej Syrji, lub w Meksyku indjańskim. Rozpowszechnione zaś dziś zapatrywanie, jako sztuka rządzenia polega na tem, żeby nie być odpowiedzialnym, że tedy rząd powinien dążyć do zniesienia odpowiedzialności swych członków, pochodzi z cywilizacji turańskiej. Naciąganie tekstu ustaw, aż się z nich wyciągnie wątpliwości, służyć mające do zniweczenia prawa, stanowi jurysprudencję talmudyczną. Mniemanie, że społeczeństwu wolno się organizować tylko o tyle, o ile zezwolą urzędy, pochodzi z cywilizacji bizantyńskiej. Tam też źródło zapatrywania, że Kościół powinien podlegać państwu.

Przykładów mógłbym przytaczać setkami. Dziś prócz Włoch nigdzie w Europie życie publiczne nie trzyma się jednej jedynej cywilizacji, nigdzie nie jest konsekwentne. Widać wszędzie jakieś kompromisy pomiędzy cywilizacjami, co z natury rzeczy musi być wielce chwiejne. Istne nieustanne trzęsienie ziemi!

A może to dążenie do syntezy? Lecz jakaż synteza pomiędzy instytucją rodziny, a zniesieniem spadków? Pomiędzy uznaniem ojcostwa, a stopniowem odbieraniem rodzinie wychowania dzieci? Pomiędzy konkordatem z Rzymem, a wysuwaniem wrogów katolicyzmu na wysokie dostojeństwa państwowe? Pomiędzy prywatnem prawem własności, a dysponowaniem tą własnością przez państwo i t. p., i t. p.

Synteza możliwa bywa między sprawami i pojęciami jednorodnemi, chociaż nie jednakowemi; ale synteza przeciwieństw jest absurdem, a próby w tym kierunku (świadome czy nieświadome) kończą się absurdem i stanem acywilizacyjnym. A gdy się raz w to wpadnie, ciężko na tej równi pochyłej o ratunek. Możemy się cofnąć do barbarji (nawet pod względem technicznym), jeżeli Europa nie zapobiegnie zawczasu grożącej ruinie cywilizacyjnej przy pomocy ponownego skondensowania cywilizacji łacińskiej i przyznania jej metodom wyłącznego monopolu w urządzeniu życia narodowego, społecznego i państwowego.

Obecnie zmierza Europa (prócz Włoch) do stanu, w jakim pogrążona jest znaczna część Orjentu. Dobrze to ujął F. Goetel, określając wrażenie wyniesione z Port-Said w te słowa: „Wygląd miasta zewnętrzny, miedzynarodowy, przypomina ladacznicę, która każdą część garderoby otrzymała od innego gościa, a tylko koszulę ma swoją i ta jest brudna".

Oby Europa powstrzymała się na tej drodze i oby nasza Polska nie była w tem ostatnią! Miejmyż na pamięci, że komunizm jest konsekwentny, wiedzący, czego chce, kroczący bezwzględnym pochodem do swoich absurdów. Trudno potykać się z nim ludziom nie wiedzącym, czego właściwie chcą, czerpiących pomysły równocześnie aż z czterech cywilizacyj. Skorośmy zachwiali cywilizacją własną, skoro urządzamy sobie mieszankę, w której niema nic jasnego, a tylko o wszystkiem wolno wątpić, nie dziwmyż się, że coraz więcej osób tęskni za jakimś „pewnikiem" i bierze go, skąd się da, skoro my żadnego pewnika masom nie dajemy. Jeżeli się jeszcze sferom rządzącym (tj. masonerji) powiedzie podkopać powagę Kościoła, możemy potomkom naszym pogratulować cywilizacji... portsaidzkiej.

Przelęknie się sam siebie i sam sobie wyda się potworem niejeden, kto działał przeciw cywilizacji łacińskiej, nie zdając sobie długo sprawy, że działa na rzecz bolszewizmu. Np. szerzy się w Polsce teorja, jako społeczeństwo winno być opanowane całkowicie przez władze państwowe, bo interes najwyższy społeczeństwa wymaga, ażeby państwo było jaknajsilniejsze, a musi być silne przedwszystkiem na wewnątrz, jeżeli ma być silnem na zewnątrz, a zatem droga do stanowiska mocarstwowego Polski wiedzie przez ukrócenie społeczeństwa na rzecz urzędów państwowych! A tymczasem w rzeczywistości siła polityczna nie jest niczem innem, jak tylko emanacją... społecznej. Ale o tem nie mogą wiedzieć nieuki.

Podobnych przykładów możnaby spisać cały tom. Ubijanie społeczeństwa właściwe jest cywilizacji bizantyńskiej, w wyższym zaś jeszcze stopniu turańskiej. Co będzie z Polską, jeżeli będzie się ją wtłaczać gwałtem na tory bizantyńskie, a nawet turańskie? Gdzież tam dla nas miejsce?!

A tymczasem na Zachodzie ten i ów poczyna zastanawiać się, czy warto było wznawiać Polskę po to, żeby orjentalne metody życia publicznego szerzone były ku zachodowi?

Okazało doświadczenie, że moskiewszczyzny w nas znacznie więcej, niż „duchowej germanizacji“. Niemieckie wpływy były minimalne, a zrzuciła je Polska z siebie jednem wstrząśnięciem; ale moskiewskie zamiłowania wżarły się jakżeż głęboko! Szerzy się kult „naczalstwa“, któremu wolno wszystko, a państwowość identyfikuje się po moskiewsku z jedną osobą, jakby w mistycznej tęsknocie do jakiegoś mistycznego Mikołaja III! Takiemi starzyznami nie zdobędziemy „rządu dusz“ w Polsce; przy takich hasłach nie wytworzymy nowych przejawów i wyższego szczebla cywilizacji polskiej, tj. łacińskiej w Polsce. Droga orjentalna wiedzie w dalszym ciągu wiadomo dokąd.

Albo nawracać do „łacińśtwa“, albo polska kiereńszczyzna i koniec narodu w pan-bolszewizmie.

Ogół musi mieć jakieś hasło stanowcze. Minął czas połowiczności, socjalizm kruszy się na korzyść swej nieuchronnej konsekwencji—komunizmu.

Bolszewizm jest hasłem stanowczem, i dlatego zyskuje zwolenników na tle walki z Kościołem i cywilizacją łacińską. Zwyciężą go tylko hasła stanowcze.

FELIKS KONECZNY

SPOŁECZNO-POLITYCZNE IDEJE SŁOWACKIEGO W DOBIE MISTYCYZMU

(Ciąg dalszy)

IDEĄ społeczno-polityczną, którą Słowacki uważał za rodzimą i która wynosiła w oczach jego Polskę ponad inne narody i czyniła ją mesjaniczną apostołką dróg nowych także na polu ustrojów społecznych, była „złota wolność“ dawnej Rzeczypospolitej. Maluje ją zazwyczaj przez przeciwstawienie współczesnemu ustrojowi konstytucyjnemu Francji, uważanemu pospolicie za model wszelkich przyszłych ustrojów demokratycznych. Wolność, sformułowana w „Prawach człowieka i obywatela“, ogłoszonych przez Wielką Rewolucję, uważa on za wolność „cielesną“, w przeciwstawieniu do wolności „duchowej“ ustroju dawnej Polski. Czem te obie wolności się różnią, wyraźnie nie mówi, niewątpliwie jednak widzi tę różnicę w zasadzie majoryzmu, która poddaje wolę indywidualną, woli większości. Zasadzie majoryzmu współczesnych konstytucyj przeciwstawia on wciąż polską zasadę j e d n o m y ś l n o ś c i i wydaje mu się, że ta właśnie zasada woli indywidualnej nie ogranicza i nie krępuje. „Bo nie jest ostateczną formą w myśli Bożej dla ludzkości owa niby równość przed prawem i reprezentowana przez kilkuset myśl miljonów, gdzie już reprezentanci opozycyjni niewolnikami są, ulegając prawom, na które się nie zgodzili“ („O potrzebie idei“). Prawda, dobro i słuszność mogą być tylko jedne i nie zależą od arytmetyki głosowania. Trzeba je znaleźć, a wtedy wszyscy dobrowolnie im się poddadzą; nieświadomość da się przekonać, opierać się może tylko złość i przewrotność. Znaleźć tę prawdę może często jedna tylko dusza natchniona, a wtedy ma prawo i obowiązek bronić jej chociażby przeciw wszystkim, podnosząc *veto* z d u c h a. „Bo to nie Polak, który sobie nie zostawi świątyni we wnętrzu ducha własnego niezgwałconej prawem, dla ducha świętych zaprzeczeń, albo też nie zdolny jest (z) duchem świętym zlać się w jedność organiczną. Nie Polak, kto pod martwą, ołowianą kartą prawa zgodził się być kółkiem obrotu w obrotów nie świętych machinie“ („O potrzebie idei“)... *Veto* jednostki, wykluczając jednomyślność, wyklucza uchwałę. Ostatecznym owocem „zwycięstwa prawdy” będzie jednomyślność. Drogą do jej osiągnięcia jest k o n f e d e r a c j a, to jest dobrowolne przystępowanie do zawartej w podniesionem *veto* idei. Celem konfederacji jest oczywiście walka o tę ideę. Słowacki jednak zgoła nie widzi, że zwycięstwo w walce jest właśnie zwycięstwem siły i narzuceniem przymusu stronie słabszej, o ile konfederacja nie jest powszechnem, dobrowolnem zrzeczeniem się w danym wypadku prawa *veta*, przyjęciem więc zasady majoryzmu!

Jak przeciw zasadzie majoryzmu, na której opiera się współczesny konstytucjonalizm, występuje Słowacki przeciw p a r l a m e n t a r y z m o w i, jakkolwiek trudnoby się było w tem powołać na narodowe tradycje. Zdaniem jego Polacy do debat parlamentarnych nie są sposobni, sejm poprzestać powinien na okrzyknieniu swej woli, debaty wyrodziłyby się w jałowe gadulstwo, przy budżecie posłowie by zasnęli... Stoi to oczywiście w związku z zasadą jednomyślności, im szczegółowsze bowiem debaty, im częstsze głosowania, tembardziej rzuca się w oczy jej nierealność.

A wreszcie i mieszcząca się w „Prawach człowieka“ zasada r ó w n o ś c i nie znajduje u niego aprobaty. Jest to zasada równości cielesnej, przeciwna faktowi nierówności duchowej. Duchów niższych żadna siła do poziomu wyższych nie dociągnie, wyższe z niższemi chyba tylko przez ucięcie głów zrównać można. W dawnej Polsce nikt nie myślał „o wyciąganiu z za pieca pijanego chłopa, dla zrównania go z pięknym i szlachetnym rycerzem“ (List I do ks. A. C.). Na miejsce zasady równości postawić trzeba zasadę h i e r a r c h j i d u c h o w e j; hierarchja ciał ma być przystosowana do hierarchii dusz. W jednym ustępie „Trzeciej Rozmowy“, z okazji przedstawienia państwa Faraonów, wykłada Tłumacz Słowa swym słuchaczom, dlaczego wogóle hierarchja dusz — jedyny naturalny porządek społeczny — nie jest w rzeczywistości zrealizowana. Oto duchy wyższe, nie troszcząc się o sprawy materjalne, a zamyślone o rzeczach duchowych — (uwagi godny prymat duchowy marzycieli!) — pozwoliły wyręczyć się i wyprzedzić w owym to materjalnym porządku rzeczy duchom niższym, które, urosłszy w siłę, zaczęły im panować. Rewolucje nie są niczem innem, jak reakcją przeciw takiemu stanowi, walką o przywrócenie hierarchji z ducha. To, w uogólnieniu swojem paradoksalne twierdzenie, wynika z pewnego optymizmu Słowackiego, związanego z wiarą w ciągły postęp, optymizmu odziedziczonego po Wieku

Oświecenia, a zapewne też jest to ślad konfliktu wewnętrznego między teoretycznym demokratyzmem a organicznym—aby tak rzec—arystokratyzmem poety. Może i nie bez wpływu jest „malowniczość“ rewolucyj, którą radby przeto ocalić przez interpretowanie ich w sensie swej teorji o hierarchji dusz; w żadnym razie nie można stąd wyciągnąć wniosku o sympatjach dla sił, idących z dołu, bez względu na ich wartości duchowe. Zaprzeczają temu zresztą słowa (w „Liście do ks. A. C.“) o „obrzydliwości i ohydzie, jaka na krwawe komunizmy i czerwone demokracje upada”. Dość to daleko chyba odbiega od okrzyku, zawartego w wierszu „Do autora Trzech Psalmów“: „a któż inny jest, jak gmin?“... Usiłowanie pogodzenia tych sprzeczności prowadziłoby do zapoznania psychiki Słowackiego. Jest to zresztą psychika właściwa romantyzmowi, którego demokratyzm jest szczególnego nabożeństwa. W nieporównany sposób charakteryzuje on się w wyznaniu Stendhala: „nienawidzę kanalji, a uwielbiam ją pod nazwą lud“. Zasadę hierarchji duchowej wysunęli wówczas na czoło nawet ci, którzy zaliczają się do prekursorów dzisiejszego socjalizmu, saint-simoniści. St. Simona mieni Słowacki jedynym we Francji współczesnej filozofem z ducha (Rozmowa III.). Zresztą— jeżeli się chce te sprzeczne poglądy odważyć wedle ich gatunkowego ciężaru — to za teorją hierarchji przemawia jej zgodność z całokształtem nauki genezyjskiej; wiersz, pisany w żarze polemiki i pod wpływem naprężonej sytuacji, w której trzeba było „mas jakkolwiek stworzonych“, nie może mieć tej samej wagi. To, że w literaturze zyskał znaczenie rozstrzygającego o poglądach Słowackiego dokumentu, zawdzięcza on z jednej strony genjuszowi formy, z drugiej... niedostatecznej znajomości genezyjskiej nauki, aby już nie mówić o tendencjach widzenia tego, co się chce widzieć, a nie tego, co jest naprawdę.

Podłożem całego skreślonego tu systemu, w którym zmartwychwstaje złota wolność, *liberum veto* i konfederacja, jest chęć odnalezienia pierwiastków rodzimych polskiego ducha. Odnaleźć je można w intuicji własnej, która przecież jest wybłyskiem podświadomych pierwiastków duszy narodowej, [10]), a skontrolować historją. To odwoływanie się do intuicji, do pierwiastków podświadomych, właściwe jest mistyce. Nie rozumowanie logiczne, ale natchnienie jest zródłem poznania, — rozum ma znaczenie wtórne, służy do praktycznych przystosowań prawd objawionych. Troskę o te praktyczne przystosowania pozostawia poeta innym, sam nie podejmuje logicznego wysiłku, aby ideje swoje ocenić kamieniem probierczym realnych warunków życia. Niekiedy wystarcza mu sama nazwa, która wydaje mu się jakby głosem wołającym z mroków przeszłości i dopominającym się zrealizowania. „Wiadomo wam wszystkim Mości Panowie“ — mówi 19 marca 1848 do „zgromadzonych w klub zawiązać się chcących Polaków“,—„że w formułowaniu się kryształu pierwszy atom i zawiązek, z którego kryształ powstać ma, już ten kształt i tę formę zachowuje, która następnie kształtem i formą całego kryształu staje się i we wszystkich się częściach jego powtarza. Prawo to, z natury wzięte, przewodniczyć powinno wszelkiemu organizowaniu się ducha w ludzkości. Ani forma, ani nazwisko tej formy, nie może być obojętne“... A co jest niezmiernie charakterystyczne, kiedy zaleca zebranym zorganizowanie się w formę konfederacyjną, prosi aby nad tą propozycją nie dyskutować, ale przyjąwszy bez dyskusji potem dopiero myśleć o przystosowaniu do życia. Bo—powiada—forma konfederacyjna, oddawna pogrzebana, zmurszała, dyskusji by wytrzymać nie mogła!... A przecież formę tę zaleca! Samej nazwie przypisuje potęgę sakramentalną. W Liście II do ks. Czartoryskiego pisze: „Uśmiechasz się W. Ks. Mość... nie wierząc zapewne, aby tak wielka moc w gadanej gdziekolwiek ani głoszonej idei być mogła, — przyszłość jednak pokaże, że jeżeli car zadrży, to nie wtenczas, gdy mu doniosą, że regiment jakiś upiorny polskich ułanów z pod ziemi polskiej wytrysnął... Bo przeciwko wojskom ma wojska i czas i skarby. Ani też spodziewaj się W. Ks. Mość widzieć go bladym, jak Baltazara w sali tronowej, gdy usłyszy, że ręka jakaś pokazała się z polskiej mogiły w konstytucyjną księgę uzbrojona... Lecz gdy potęga jego cielesna... pierwszy raz o rewolucyjną świętą naturę ducha polskiego uderzy — a trójcę konfederacką siedzącą na wszystkich wieżach w duchu zobaczy — cofnie się...“ Gdzieindziej powiada, że ambasada rosyjska w Paryżu obojętnie patrzała na wszelkie ruchy emigracji, ale gdy raz powstała myśl zorganizowania się w formę konfederacką — (nie wiem zresztą jaki to wypadek ma na myśli) — wtedy ambasador przestraszył się i poczynił przedstawienia u rządu francuskiego [11]).

Idea narodowa tkwi w duszy narodu chociażby nieraz tylko podświadomie, i może uświadomić się w pewnej chwili, zwłaszcza za pobudką rewelatora, którą to rolę spełnia zazwyczaj poeta. W tej to idei leży istota narodowego ducha, istota narodu wogóle. Ażeby idea taka nie zamarła, ażeby przeto nie zamarł naród, potrzeba utrzymania czystości rasy. Rasę rozumie Słowacki jako pewną cechę duchową, a do utrzymania jej w czystości wielką przywiązuje wagę. Wynarodawiamy się, przyjmując obce narodowemu duchowi pierwiastki. Człowiek jest w ciągłej komunikacji ze światem duchów i stamtąd otrzymuje natchnienia. Natura tych natchnień zależy od natury duchów, które nas okrążają, a okrążają nas takie, jakie odpowiadają naszemu duchowemu tonowi. Ten ton—

---

[10]) Tłumacz „Słowa“ mówi do Heliona (Rozm. I, red. 1; Lamus III, str. 250, 251): „...wszystkie twoje myśli i uczucia z niej są (z Ojczyzny), równie jak ona cała jest w tobie i z jednego ducha twojego mogłaby zmartwychwstać na nowo“. — „Ojczystość w duchu naszym pracą wieków wszczepiona, zamienia się niby w rdzeń i w bronzową pestkę ducha naszego“. — W Raptularzu zanotowano: „Adam mówił, że w ziarnku zboża jest całe zboże, albowiem gdyby zaginęło, z ziarnka może być odzyskane“...

[11]) Na czele konfederacji stawiał Słowacki, wbrew historycznej tradycji, nie dwie lecz trzy osoby, t. j. oprócz marszałka i regimentarza jeszcze „kierującego duchem“; tłumaczył on Felińskiemu, że ten trzeci wódz przedstawia tylko ucieleśnienie idei, z której wyszła konfederacja, a która to idea była zawsze jakoby trzecią duchową osobą. W tym to triumwiracie upatrywał odbicie Trójcy świętej. Mistyczne znaczenie trójki powtarza się u niego zresztą w zastosowaniu do ustrojów społecznych także gdzieindziej. I tak w „Królu Duchu“ Rp. V, p. 4. sf. 10 mówi Bolesław:

„Jam śnił, że Trójcę rządzącą w błękicie
Tu formą rządu kiedyś wyobrażę“.

Tamże na innem miejscu, (w mojem wydaniu Odm. 257):

„A naprzód, naprzód, gdy z mogił wstaniecie,
Ktokolwiek ludu budowniczym stanie,
Siołeczka święte w trójce powiążecie
A z trzech siołeczek gmin będzie wiązanie,
A z tych trzech powiat, a z powiatów trzecie
Trójce urosną, jako stany w stanie“.

to „zawołanie"; od natury zawołania zależy natura duchów zawołanych. Tak więc, gdy zaprzemy się naszej własnej narodowej natury, uderzy na nas najazd duchów obcych i wtedy nie możemy już odnaleźć samych siebie. Podobnie w akcie płodzenia od natury zawołania zależy natura ducha, którego przywołaliśmy w ciało. Anglomanja wprowadziła do Polski duchy *groom*'ów angielskich, ukrainizm duchy ruskie [12]). Słowacki podziwia lud żydowski, który tak doskonale umie utrzymać czystość swej rasy duchowej. Znamiona tej rasy są tak silne, że—jak notuje w Raptularzu— sam zapach żydowskiego ciała zwołuje duchy żydowskie [13]). Przeciwko takiemu najazdowi duchów obcych i niższych, które jak złodzieje wkradają się w ciała rodzących się pokoleń, broni myśl i wiara narodowa, a także pieśń, strojąca dusze na ton polski, wysoki:

Któż wie, jakie ma w domu swoim kwiecie?
Jak przed złodziejem zamknąć formy wrota?
Izrael to wie lud — a wy nie wiecie.
Taka jest nędza wasza i prostota!
To też wam cudzy wiatr domy zamiecie,
Aż ktoś tam czoło polskie zakłopota
I zacznie Boga przyzywać w żałościach,
Widząc te pustki ducha w polskich kościach.

Postawmy polską myśl nad poduszkami,
Postawmy wiary naszej archanioły,
Postawmy myśli serdeczne nad nami
I pieśń... z otwartą myślą, jak miecz goły; —
Niechaj machają w ciemności mieczami
Te wielkie stróże nad sennemi czoły,
A nikt się taki do nas nie przybliży,
Który nam w starej naturze ubliży.

(„Król Duch"; Odm. 165/8).

Drugiem źródłem, z którego ideę narodową wyprowadzić można — i środkiem kontroli intuicji własnej, jest h i s t o r j a. — Ażeby ideę narodową odtworzyć z historji, trzeba sięgać wstecz nieraz bardzo daleko,—duch narodowy bowiem zmącił się z czasem przez wchłonięcie pierwiastków obcych. W ten sposób sięgnięto wstecz aż do czasów spólnoty słowiańskiej. Oczywiście pierwiastki prasłowiańskie tkwić muszą we wszystkich słowiańskich narodach, są to pierwiastki rasowe. Na tem tle epoka romantyczna uprawiała słowianofilstwo. W Słowianach upatrywano rasę młodszą, przeto żywotniejszą [14]), tę która wejdzie na arenę dziejów w chwili, gdy zachodnio-europejskie cywilizacje, wyczerpane i zmurszałe, pochylą się ku upadkowi. Wyszukiwano tedy (albo fingowano) odrębności słowiańskiego ducha na wszelkich polach, z tą wiarą i w tej intencji, że w tych odrębnościach leżą zarodki przyszłej ery ludzkości. Prelekcje Mickiewicza nie są przecież niczem innem jak wykładem o swoistych właściwościach słowiańskiego ducha; tak jak on, szukali ich i inni, w obyczaju, wierzeniach, literaturze, sztuce, filozofji i urządzeniach społecznych. Właściwością społecznego ustroju Słowian jest w o l n o ś ć; „Słowianie są czynnikiem wolności duchowej" pisze Słowacki. Lelewel, aby osiągnąć czysty destylat słowiańskiego ducha, cofnął się do początków słowiańszczyzny i głosił sławę pierwotnego wolnościowego ustroju słowiańskich szczepów. Trybem Russa sięgnął w zaranie dziejów po doskonałość, — zmąciła ją nie cywilizacja sama przez się jak u Russa, ale szlachta, jako czynnik antyegalitarny, a przytem przesiąknięty cywilizacją łacińską; na tem tle szerzyły się też teorje o najeździe i obcem polskiej szlachty pochodzeniu. Mickiewicz jednak znalazł w złotej wolności szlacheckiej z jej *liberum veto* tego samego ducha wolności słowiańskiej. A za nim Słowacki. Ale gdy Mickiewicz chwalił *liberum veto* w dziejowej perspektywie, uważając co prawda nawet reformy Konarskiego za przerwanie rodzimej tradycji, po której powinien był iść wszelki dalszy rozwój, Słowacki poszedł dalej, i—spełniając niejako ten postulat duchowej ciągłości — powołał *liberum veto* nietylko do nowego życia, ale wcielił je w kanon mesjanizmu, mającego z ducha słowiańskiego świat odrodzić, mesjanizmu, którego Polska jest apostołką, bo w Polsce skrystalizował się w najczystszej formie duch słowiański. Wprawdzie poeci nasi twierdzili, że ten duch wolnościowy żyje i w chłopie rosyjskim, a tylko w warstwach wyższych zatracił się pod nalotem waregskim i mongolskim, — ale bądź co bądź nie ta największa obszarem i ludnością część Słowiańszczyzny, ale Polska reprezentowała ideę wolnościową Słowiańszczyzny. Słowacki powiada, że gdy w czasie waregskiego najazdu ostatni obrońcy wolności, kwiat ducha słowiańskiego, skupieni w Pskowie i Nowogrodzie, wyginęli, duchy ich zleciały do Polski, gdzie się na nowo wcieliły, i w ten sposób Polska stała się niby skoncentrowaną esencją słowiańskiego ducha wolnościowego. (List I do ks. A. Cz.)

---

[12]) Rozm. I, red. 1. (Lamus III, str. 236). Tamże str. 241, przyp. 82: „...o jak straszny jest element pieśni, która od Dniepru wieje, a przez niemyślące na Wiśle łabędzie powtarzana, ciągłem niby chwianiem rusza i powoli do upadku usposabia nasze dawne wysokie narodowe kolumny". — W Raptularzu taka zapiska: „Różne trucizny i tony nie nasze—ukraińszczyzna w poezji, — wswoić trzeba w siebie lud ruski". — „Król Duch", Odm. 165/8a:

„...A sen obojga zjawia się na ziemi
W ciałach... Dlatego w kraju tylu Dońców,
Którzy na ruski dźwięk jak owce biegą,
Że łóż nam dzisiaj anieli nie strzegą".

Zastanawiające jest przytem, że wynarodawiające znaczenie przypisywał Słowacki także i naśladownictwu pieśni ruskiej, podczas gdy jego samego niekiedy ze względu na „Beniowskiego" i „Sen Srebrny Salomei" do „szkoły ukraińskiej" zaliczać chciano. Oczywiście, chodziło mu o co innego, jak o odczuwanie poezji Ukrainy; kto kocha Alpy, nie staje się przez to jeszcze Szwajcarem!.. O „Ukrainofiliźmie" Słowackiego pojawiła się świeżo w języku ruskim praca prof. Eugenjusza Rychlika p. t. „Ukraińskie motywy w poezji Juljusza Słowackiego" (Niżyn 1929), o której dowiaduję się z obszernego a pochlebnego referatu prof. Marjana Szyjkowskiego w „Kurjerze Liter. Nauk." nr. 49 z 9-go grudnia 1929 r. (dodatek do „Il. Kurjera Codziennego"). Jakby z tego referatu wynikało, o tych antyukraińskich motywach, o których tu mowa, niema tam wzmianki. A przecież to musi zmodyfikować pogląd na charakter „ukrainofilizmu" Słowackiego. Zmieszanie ras (drogą fizyczną czy duchową) daje w rezultacie „duchy nieczyste"; w tym sensie powiedziano w „Królu Duchu": „te nieczyste duchy, pół Rusiny".

[13]) Leży w tem oczywiście myśl, że wystarczy obcowanie z tak wybitnie określoną rasą aby doznać najazdu duchów jej pokrewnych, a zatem pod ich natchnieniem zacząć myśleć i czuć tak jak one.

[14]) U Słowackiego spotykamy pozorną sprzeczność: raz mówi on o młodszości tej rasy, to znowu o „starszeństwie" jej ducha Jest to w związku z poglądem następującym: „Rasy są to urny nowe dla starych duchów. Gdy się ciało jakiego narodu zestarzeje i wielkości duchowej nie odpowiada, duchy zaczynają wielką migrację, szukają domów lepszych, jaśniejszych, lepszemi organami obdarzonych" — (List I do ks. A. Cz.) W ten więc sposób rasy (fizycznie) młodsze, mogą być siedzibą duchów starych; — porównaj „Król Duch" Rp. V, p. 2, strofa 48—51. — O owem „starszeństwie" ducha polskiego zob. np. w Rozm. I (Lamus III str. 250): „A tej wysokości duchów naszych dojrzysz, jeżeli zauważasz charakter narodu, niedbałość jego względem rzeczy doczesnych, zdatnoście wrodzone, które są wspomnieniami i ukształceniem duchów przed urodzeniem nabytem. Wszystko... dowodzi, że jesteśmy gromadą najwyższych i n a j s t a r s z y c h duchów na świecie"... i t. d.

Pod suggestją opanowującej romantyzm herderowskiej idei o duchu narodów, słowianofilstwa mającego źródła różnorakie, nad czem tu rozwodzić się niepodobna, i polskiego patrjotyzmu, rodzimość stała się wprost probierzem wartości, a więc i dla Słowackiego probierzem wartości „złotej wolności“ i urządzeń społecznych z nią związanych. Że to, co było rodzime, było dobre, nie ulegało wątpliwości. Idea mogła być skrzywioną, źle użytą — i tak było z *liberum veto*, ale sama w sobie była doskonałą. Spalenie się pociągu na drodze wersalskiej—notuje Słowacki w Raptularzu, nie jest argumentem przeciwko kolejom żelaznym. Złota wolność wymaga wprawdzie po ludziach niezwykle wysokich charakterów, — stwierdza to Mickiewicz w „Wykładach“ (l. 25, rok 3): „Konstytucja Polski miała sama w sobie niezmierną trudność: wymagała po obywatelach nieustannych i niesłychanych wysileń moralnych, zdawała się nie przypuszczać ludzi innych, jak zawsze wspaniałomyślnych, albo chcących być takimi, zawsze mądrych, albo starających się o mądrość, zawsze poświęcających się, albo gotowych do poświęceń“. Ale czyż ten duch poświęcenia, czyż miłość i braterstwo nie istnieją w Polsce? Tęsknota za ojczyzną kazała w niej widzieć same strony jasne. W listach Słowackiego do matki słyszymy często o suchości serc Francuzów i o wyschnięciu serc na ich modłę u emigracji. Ale w Polsce jest wszystko inaczej...

W psychice marzyciela w barwy tęczowe obleka się wszelka dalekość,—bliskość i konkretność przynosi zawsze rozczarowanie i zawód. Tak jak Słowacki kochał człowieka jako ideę, a człowieka konkretnego rzadko mógł znosić, tak też patrzał na zrealizowane w konstytucji Francji ideały Wielkiej Rewolucji. Całą ową „wolność“ uważał za produkt niższego ducha francuskiego. W „Królu Duchu“ przechodzą we śnie proroczym przed Mieczysławem aniołowie ludów. O aniele Francji powiedziano:

I rzekła mi twarz jasna, że był czynny
Na wszystkie strony jak pająk stuoki,
I gotów zawrzeć w sobie jak szał winny,
I błyskawicą pójść, aż pod obłoki;
Lecz gwiazdy na to zadrżeć nie powinny,
Ani uważać Jehowy proroki,
Ani ust moczyć w tych jagód rubinie...
Puśćcie!... niech przejdzie ten anioł — i minie...

„Jehowy proroki“—to Towiański i Mickiewicz, gdyż w nauce towianizmu Francja miała wyznaczoną misję pospołu z Polską i... Izraelem. Zresztą owa romantyczna mizantropja, czująca wszędzie rozdźwięk między ideą a życiem, czerpała swoją gorycz przeciwko „cielesnej równości“ i prawu większości nietylko z praktyki francuskiego parlamentaryzmu; — były zjawiska daleko bardziej wyzywające tę gorycz. W Raptularzu czytamy uwagę o „dziecinności francuskich rysów“; niewątpliwie ma tu Sł. na myśli dziwactwa całego szeregu francuskich reformatorów społecznych, jak Fouriera, Cabeta, Enfantina i in. Po za radykalnymi wyznawcami haseł Wielkiej Rewolucji, przeżuwanych przez naszą Centralizację demokratyczną, i ci także znachodzili naśladowców. Zanotujmy tylko jeden fakt skrajny: komunizm „Polski Chrystusowej“ cabecisty Ludwika Królikowskiego, znoszący nietylko własność, nawet użytkową, ale niwelujący dusze do najniższego poziomu, kładąc na równi kapitalistów i „talenciarzy“, gdyż jedni jak drudzy korzystają z dóbr, które darmo dostali i których używają do wynoszenia się nad innych [15]). I to miała być także mesjaniczna idea Polski! A to „uchrystosowienie“ miało się odbyć drogą apostolstwa, ale—gdyby się nie dało--to wszakże Chrystus powiedział: „nie pokój wam niosę ale miecz“... O takiem to „zrównaniu przez ucięcie głów“ mówi z ironją Słowacki. I dopiero w tem świetle kontrastowem można należycie zrozumieć — i wyrozumieć—poglądy jego na zasadę większości, na niepozbywalne prawa jednostki, na *liberum veto*, na postulat uzgodnienia hierarchji cielesnej z hierarchją dusz.

Ilustracją owej metafory o niwelującem „ucięciu głów“ jest wyborna przypowieść [16]), ironizująca tych, którzy dla słabości lub ze względu na popularność egalitaryzmu sami dobrowolnie rezygnują ze swych darów duchowych, zniżając się do niższego poziomu. Oto przyszła do wygnańców wiadomość, że Ojczyzna powstaje i woła o śpieszną pomoc. Wtedy powszechną zgodą obrano najpoważniejszego wiekiem i znaczeniem człowieka, aby prowadził. „Więc on wódz, rozczulony, rzekł: wyrzekam się wszelkiej różnicy ciała i położenia, powozy moje odeszlę do domu, kij nawet odrzucę—abym był jako jeden z najniedołężniejszych w gromadzie. Owszem, choć jeszcze rzeźki, krok mój zastosuję do kroku chromych—a wzroku nie będę używał, abym ślepych nie wstydził—a rozumu się wyrzeknę, abym głupich nie upokorzył. Niech jedność będzie w miłości,—i równia w niedołęstwie“. I przez lat czterdzieści prowadził ten nowy Mojżesz lud swój do ziemi obiecanej.

Nakazy moralne dla duchów wiodących są inne, jak dla niższej gromady,—i grzechy są inne, o których niemasz nic w katechizmie. Wyższość nie jest tytułem do egoistycznego sobiepaństwa — jak u nadczłowieka nietzscheańskiego — nakłada ona obowiązki społeczne wobec niższych — bo „Chrystus dzieciątek by nie opuścił“. Ale zasadą jest dzierżenie wysoko sztandaru prymatu ducha; niskie trzeba podnosić ku wysokościom a nie zniżać wysokości ku nizinom. Zasada hierarchji duchowej, tkwiąca w nauce genezyjskiej — bo postęp genezyjski dokonywa się przez duchy wiodące, do których wysokości inne się dociągają—podniesiona jest do godności postulatu etycznego, wchodzącego w skład świętych cnót ducha polskiego. O tych cnotach mowa jest w Rozmowie I („Lamus III“, str. 251), gdzie czytamy: „Kto przez ducha i dla umiłowania celów Bożych nie jest zdolny (— tu wymieniono szereg owych cnót, a między niemi nakoniec:) uszanowania ku świętym i mocniejszym od siebie (duchom), ten prędzej czy później opuści ziemię nie swoją, a śmierć mu sama to opuszczenie ułatwi“... Znaczy to, że kto nie ma czci dla wyższości duchowej, nie jest z ducha Polakiem, Polska nie jest jego ziemią, a duch jego po śmierci innych ojczyzn sobie poszuka.

(Dok. n.) JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

---

[15]) Wielce zabawna jest odnosząca się do tej materji, pomieszczona w „Polsce Chrystusowej“ polemika z fourierystą Czyńskim. Cz. utrzymuje, że przedkładał ze skutkiem robotnikom, iż nierówność na tle uzdolnień nie istnieje, gdyż uzdolnienia różnią się tylko rodzajem, i tak np. filozof nie potrafi szyć butów tak dobrze jak szewc. Należało może powiedzieć, że nie potrafi równie dobrym być idjotą, jak idjota.

[16]) Po raz pierwszy ogłosił ją z rękopisu Pini w „Ruchu Literackim“ z r. 1926, nr. 9.

NA WIDOWNI

Dwa stulecia. — Jedne rzeczy mijają, drugie są wieczne. — Pióro Norwida i nasze. — Listy rodu Karpińskich — Warszawianka i poznanianka. — Emigracja do krainy literackiej. — Miłość i wierność są wieczne. — Jak żyli i umierali Karpińscy.—Kwitnące życiem groby.

NIEWESOŁO było w minionem stuleciu, ze wzruszeniem jednak witamy wszystko, co nam może charakter tych czasów przypomnieć. Z uśmiechem pobłażliwej wyższości porównywamy to, co się zewnętrznie zmieniło, ale stokroć więcej zadowolenia doznajemy na widok tego, co się nie zmienia, co według naszego ideału powinno być wieczne, co powinno być rdzeniem życia, zawsze we wszystkich warunkach.

Oto teraz leżą na mem biurku trzy tomy listów, pisanych przeważnie w drugiej połowie XIX stulecia. Te grube tomy już przez to samo, że je z dużym nakładem kosztów wydano, świadczą, jaką czujemy potrzebę uprzytomniania sobie swoich dawnych stanów duchowych.

Listy! Uśmiechamy się na myśl, że ludziom chciało się tak dużo pisać. Dzisiaj listów nie pisujemy; telegrafujemy, „dzwonimy" do przyjaciół. Dawniej mieli ludzie czas i cierpliwość. Teraz przemysłowiec, a nawet literat może nie umieć pisać. Po śniadaniu, siedząc wygodnie w fotelu przed aparatem, mówi w niego list za listem, albo wymyśloną w łóżku bujdę powieściową; gdy jeden wałek się skończy, zakłada drugi; ileż przez godzinę można nagadać! Potem sekretarka puszcza wałki na gramofon, który jej dyktuje wolniej lub prędzej, głośniej lub ciszej, co chlebodawca wywnętrzył. Ma co stukać cały dzień na maszynie.

„O pióro! Tyś mi żaglem anielskiego skrzydła"...

— taką inwokację do pióra kreślił swojem piórem Norwid. Ale nie zrozumielibyśmy tego wiersza, gdybyśmy z dziejów kultury nie wiedzieli, że było to wówczas pióro gęsie, sunące, jak „żagiel" nad papierem. Pracowite było pisanie, pisywano nieraz całemi dniami jeden list. I oto teraz wychodzą te listy tomami.

Mam na myśli listy Zygmunta Krasińskiego do Delfiny Potockiej (pisano o nich w „Myśli Narodowej"), listy Gabrjeli Żmichowskiej do Wandy Grabowskiej (Żeleńskiej) wydane przez Boya-Żeleńskiego, wreszcie listy Karpińskich. Te ostatnie noszą tytuł „Z przeżyć i wrażeń wieśniaka, 1855—1911". (Warsz 1930. Str. 423). Za te listy Karpińskich można oddać wszystkie literackie z owych czasów, bo są to dokumenty owego ducha, który jest chlebem powszednim wszystkich czasów, nie ulegającym modzie. Pisane są piórem, które-- jak się wyraża Norwid — „nie płowieje skwarem słońca i nie ciemnieje słotą", „piórem, którem ospę z krwią mieszają młodą"; to znaczy, nie w atramencie — lecz w krwi są maczane (szczepionki!)

Wydał je Stanisław Karpiński, doniedawna prezes Banku Polskiego, obecnie na emeryturze, wspominający czasy dawne ojców. Są w tym zbiorze jego własne listy do ojca, dla niepoznaki ze zmienionym podpisem (Jan). Niepotrzebnie, mojem zdaniem, zmienił ze zbytniej skromności. Jako człowiek jemu współczesny, mogłem to odrazu spostrzedz i nie popełniam niedyskrecji, wyjawiając ten szczegół, boć z treści listów wypływa autora osobistość, dobrze znana w naszem pokoleniu i cenioną. Redagowaliśmy razem „Głos" w latach 1895—99. W nim właśnie dokonała się w jego rodzie największa przemiana: z domu rolnik, stał się reprezentantem najruchliwszego żywiołu wielkomiejskiego — finansów i handlu. A przecież nieodrodny to syn i wnuk tej sfery oświeconej, której społeczeństwu dostarczało dawniej ziemiaństwo. Doskonały przykład, że możliwa jest ciągłość idealistycznych tradycyj na każdym szczeblu społecznym po wszystkie czasy.

Z listów dziada i stryja, a przedewszystkiem swego ojca Feliksa, oraz listów własnych, które po śmierci ojca w szufladzie się znalazły, ułożył kronikę rodu za półwiecze, nie dodając ani słowa przedmowy, bądź wyjaśnień w przypisach. Listy mówią same za siebie. St. Karpiński nie chciał, jak to widać, dawać im znaczenia pomników osobistych. Gdzie w listach są wzmianki o osobistościach, nie dał umyślnie wyjaśnień. Nie chodzi bowiem o osoby, lecz o epokę, o to jaki był poziom kultury, jakim typ charakterów, jaka atmosfera w społeczeństwie i w życiu rodzinnem. Celu tego dopiął. Gdyby szukać dla tej epoki takiego miejsca w społeczeństwie polskiem, gdzie ono było najzdrowsze, najżywotniejsze, najwięcej na przyszłość obiecujące, to właśnie w tem miejscu, gdzie żyli tacy Karpińscy, przekrój byłby najwdzięczniejszy.

Rodzina ziemiańska w Poznańskiem, przeniesiona potem na Mazowsze, doskonale w dziedzicznej kulturze zorganizowana duchowo, nie puszcza swoich więzów w żadnym obrocie losów, trzyma się mocno podczas wstrząśnień, które nią miotają, rozpraszając ludzi po świecie. Jest to typ rodziny patrjarchalnej, zmodernizowanej społecznie pod wpływem czasu, ale moralnie uszlachetnionej samorzutnością miłości, która ją łączy.

Główna osoba w tej książce, środkowa, Feliks Karpiński, ojciec wydawcy, około roku 1855 przeniósł się z Poznańskiego na Mazowsze. Szuka zajęcia na roli, zaczyna od zarządu dóbr, jest dłuższy czas głównym plenipotentem gospodarczym ordynacji Opinogórskiej Krasińskich (jeszcze za życia generała Wincentego), potem przechodzi na własne gospodarstwo. Jeden z pierwszych listów młodzieńca do rodziny w Poznańskiem (przetykany poezjami cytowanemi) ma jedną nutę bardzo znamienną:

„W tych dniach powróciłem z Warszawy, pieniędzy dużo wydałem, ale przynajmniej dobrze czas spędziłem... Ile razy porównywam życie w Księstwie z życiem w Koronie, przychodzi mi myśl przesiedlenia się tutaj na stałe. W obyczajach naszych rodzinnych kątów, widzę za dużo stron ujemnych. Porównaj np. kobietę warszawską z damą poznańską: pierwsza wobec drugiej — conajmniej księżniczka. Co za delikatność uczucia, jaka lekkość wysłowienia, a w końcu ubiór! wszystkiem wogóle, czem kobieta odznaczać się powinna, przewyższa warszawianka nasze poznanianki..."

I to jest rys zasadniczy XIX w. w Polsce, objętej wpływami Warszawy: — kobieta, jako prawodawczyni kultury zarówno obyczajowej, jak i umysłowej.

Zapewne tłumaczy się wiele tem, że Warszawa była stolicą Księstwa i przedtem siedzibą dworu Stanisława Augusta; wpływy zaś kultury niemieckiej w Poznańskiem działały raczej w kierunku ujarzmienia kobiety. Są jednak inne jeszcze przyczyny tych różnic. Po r. 1831 rodziny w Królestwie w sferach oświeconych przerzedzone zostały z mężczyzn, a powtóre przerobić musiały

swoje domy na użytek ideowy szerszy, aby zastąpić mogły skasowane życie narodowe. Kobieta zawładnęła tą nadbudową ideową i moralno-polityczną na prawach pani domu i organizatorki życia towarzyskiego.

W Poznańskiem była jakaś konstytucja, jakieś życie publiczne, była też dla mężczyzn instytucja niemiecka — knajpa. W Warszawie, gdzie życie miejskie nie było jeszcze nowożytnie zorganizowane, domy przystosowano do potrzeb salonu, jako instytucji społecznej. Tutaj powstał typ owych „conajmniej księżniczek". Zapominano w atmosferze salonów o „polityce", ale uczono się sztuki towarzyskiej. Ta oprzeć się musiała na literaturze, raczej na literackiej postawie, to znaczy na literackim sposobie traktowania wszystkich rzeczy. Salony były szkołą nawet filozofji, w każdym razie były szkołą zręcznego rozmawiania, ale przedewszystkiem szkołą wdzięku. Był to czas wpływowych i utalentowanych kobiet.

Pisanie listów, wówczas modne, było dalszym ciągiem konwersacji salonowej. Nie każdy umiał pisać tak piękne listy, jak Żmichowska lub Krasiński — te już przeszły do literatury. Ale pomyślmy, jakie jałowe to były czasy, kiedy ludzie mieli czas i ochotę na tyle listów. Zygmunt Krasiński, zagrzewając mózg erotyzmem, układa całe tomy listów filozoficznych do kobiety, która nie umie pisać ortograficznie. Żmichowska, bliższa realnego życia, niż Krasiński, przędła się, jak kądziel, piękną nicią myślową, snutą na użytek towarzyski.

Rysem zasadniczym wszystkich tych listów jest myśl bezinteresowna, szukająca dla siebie formy pełnej wdzięku, myśl ultra-literacka, odstająca od życia. W ten sposób odstała od ziemi cała literatura, zwłaszcza na emigracji. I to była najgroźniejsza dla umysłowości polskiej w XIX w. tendencja, owo emigrowanie inteligencji w światy werbalne i astralne.

To też z uczuciem ulgi przenosimy wzrok na życie ludzi normalnych, jak Karpińscy. Listy ich biorą trochę zabarwienia od literatury, ale w treści swojej świadczą, że istniał przecież nurt nieprzerwanego męskiego myślenia o realnym bycie Polski. Są to rzetelne mazury czy wielkopolany, wkorzenione pracą w ziemię i wiarą, że społeczeństwo trzyma się charakterami obywateli i rośnie w atmosferze cnoty.

Zbiór listów Karpińskich zaczyna się od doniesienia bratu (ojcu wydawcy), że ojciec umarł. „Daj Boże—pisze—żebyśmy, przeżywszy tak długo, zostawili po sobie tyle szacunku". Niewielka to może idea, ale zdrowa. „Pamiętaj—kończy—że pozostała nam bogata tradycja cnót naszych rodziców". A w pięćdziesiąt lat potem ów syn, umierając, podaje znowu swemu synowi ten sam przekaz dziedziczny. Pisze do syna:

„Słabość się wzmaga... Zażądałem księdza i przyjąłem Ostatnie Sakramenta... Dotychczas wlokę mój żywot, zawsze ciekawie spoglądając na świat, czy nie dojdzie szczęśliwa wieść: Polska żyje! Pragnę Jej i błogosławię Jej".

A w liście ostatnim pisze umierający starzec:

„Odejdę z tego świata zapewne nie bez żalu, ale z pogodą człowieka, który zawsze kochał kogoś więcej, jak siebie. Jeszcze w dziecinnym pacierzu, nauczony przez matkę prosiłem o rozum dobry i przyjaźń ludzką... W dzieci moje wpoiłem szlachetne instynkta i spotęgowałem w ich sercach miłość Ojczyzny, nauczyłem je pracować uczciwie, mogłem im pomóc, a sobie zapewnić niezależną starość. Oglądając się poza siebie, mogę wyrzec w pokorze: Wszystko mi dałeś, co dać mogłeś, Panie".

Bieg życia podejmują dalej synowie; i tak płynie wierna rzeka. Nie zawsze powierzchnia wód wyrównana; są w życiu zawichrzenia, ale nurt płynie zawsze i jest świeży. Pogoda ducha iście stoicka, ta sama, która dawała wielkość Kochanowskiemu, stanowi piękne tło krajobrazu umysłowości polskiej w. XIX. Wszystko, co się dzieje na świecie, odbija się w czystej toni wód w przedziwnie wyraźnych skrótach. Wypoczywamy, patrząc na to życie przez listy Karpińskich i odradzamy się w poczuciu, że przecież dzieje nie są stekiem przypadków zewnętrznych, lecz płyną łożyskiem dusz naszych, w dużej zależności od mocy naszego charakteru narodowego.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

SZTUKA WYCHOWANIA

W OSTATNICH tygodniach nasza uboga literatura pedagiczna wzbogaciła się dwiema książkami, które się wzajemnie uzupełniają. Mam na myśli „Zasady nauczania" dr. Bohdana Nawroczyńskiego, prof. Uniw. Warsz. i „Sztukę wychowania" dr. Ludwiki Jeleńskiej[1]). Odkładając na później omówienie znakomitego dzieła prof. Nawroczyńskiego, pragnę poświęcić obecnie parę słów ciekawej książce p. Jeleńskiej.

Autorka pragnie w niej podać praktyczne metody postępowania przy pracy wychowawczej, zdając sobie jednak sprawę, że dopiero osobista wartość nauczyciela może dać tym metodom pełną wartość. W każdym razie znajomość tych zasad może nauczycielowi jak i rodzicom (bo i dla nich książka jest przeznaczona) zaoszczędzić wielu prób niefortunnych.

Problem pedagogiczny, jako odbicie problemu życiowego, jest jeden i ten sam we wszystkich epokach i u wszystkich narodów. Zmienia on swoje formy rozwiązania, ale w gruncie rzeczy pozostaje niezmienny. Zawsze wychowanie będzie sztuką wewnętrznego sharmonizowania człowieka, to znaczy ma ono stworzyć w wychowanku wewnętrzną siłę organizującą i stale działającą przez całe życie. Im większy w wychowankach powstał rozpęd samowychowawczy, tem większy jest sukces wychowania. Wprowadzenie więc wewnętrznego ładu w rozbieżną naturę ludzką jest zasadniczym celem wychowawczym, szczęśliwie określonym w książce Lombardo-Radice *„L'ideale educativo"*, z której p. Jeleńska cytuje następujące zdanie: „Celem wychowania jest autonomja, władanie sobą, stanie się, według słów znamiennych, — jednym". Osiągnięcie tego ideału jest możliwe tylko przez zastanowianie się nad sobą i tworzenie siebie, gdyż według słów tego samego Lombardo-Radice „każdy jest twórcą swego życia i swym wychowawcą", obowiązkiem zaś wychowawcy jest pomagać uczniom w tej pracy i wzmacniać tendencję początkową woli przez wolę świadomą. Dziecko pozostawione samemu sobie nie zdołałoby się ochronić przed wpływami środowiska, jak też i przed wpływami własnych skłonności, cech dziedzicznych i temperamentu.

Wychowawca, dążący metodycznie do wytkniętego celu, pamięta, że pouczanie bezpośrednie

---

[1]) Ludwika Jeleńska, „Sztuka wychowania". Nakładem „Naszej Księgarni", Spółki Akc. Z. P. N. S. P. Warszawa 1930, str. 229.

dziecka może mieć tylko wówczas wpływ dodatni, jeżeli pada na grunt odpowiedni. Grunt ten przygotowuje cały szereg czynników, wywołujących w dzieciach bezwiedne, podświadome naśladowanie. Chodzi tu przedewszystkiem o wpływy środowiska, którego poczucie moralne, kierunek zainteresowań, kultura towarzyska i estetyczna tworzą niewidzialną atmosferę psychiczną, wywierającą na dzieci potężny wpływ wychowawczy, zanim wychowawca zacznie odwoływać się do ich świadomości.

Podobnie ważne znaczenie ma troska o dodatnią „atmosferę pedagogiczną"; tworzą ją szacunek dla pracy, ideowość i radosny nastrój. W takich warunkach może rozwijać się korzystnie praca wychowawcza. Jest ona najpierw pośrednia; mianowicie dąży do wywołania w dzieciach zdolności skupienia, to jest do obudzenia w nich uwagi, a wraz z nią do wyrabiania w nich możności posłuszeństwa, gdyż „żeby być posłusznym, trzeba m ó c słuchać, to znaczy trzeba sobą władać, trzeba m ó c sobie nakazać". Uwaga jest więc środkiem umożliwiającym „bezwiedne samowychowywanie". Tak samo w posłuszeństwie nie to jest ważne, że uczeń spełnia wolę wychowawcy, lecz że, okazując się posłusznym, uczy się panować nad samym sobą i przez to „wychowuje się bezwiednie".

Równocześnie z wpływem podświadomym, który nie powinien nigdy wygasać, rozpoczyna się od najmłodszych lat wywieranie wpływu świadomego. Nigdy nie jest zawcześnie zacząć przemawiać do rozumu dzieci, a cała trudność polega na tem, żeby utrafić w odpowiedni ton i na odpowiedni moment. Wychowawca wywiera wówczas wpływ świadomy, gdy wola jego przekształca się na własną wolę dziecka. Budząc w wychowankach poczucie godności, stawia im zamiast wzoru do naśladowania, ideał do realizowania w sobie. Ideał ten musi być na poziomie ucznia, razem z nim wzrastać i zakorzeniać się w nim coraz głębiej.

Wiele mądrych i słusznych uwag podaje autorka o tych ideałach. Jak n. p. trafne są wskazania, by młodym uwydatniać wartość każdego szlachetnego życia. „Wobec panoszącej się wszędzie nieprawości ludzie uczciwi zaczynają czuć się bezradni, gorzej nawet, ulegają deprawującej atmosferze, mając na uspokojenie swojego sumienia gotową formułę: „Cóż ja mogę wobec wszystkich; jedno nadużycie więcej, czy mniej, jedno zaniedbanie więcej wobec tysiąca wciąż popełnianych". Stąd lekceważenie własnej odpowiedzialności". Otóż musi się w młodzież wpajać, że społeczeństwo, mimo występków, może istnieć, jeżeli nie jest całkiem zgangrenowane, jeżeli znajduje się w niem pewien procent ludzi prawych, zdrowych moralnie i silnych duchem. Jest to, jak powiedział Tetmajer, tragedja nasza, że wśród ogółu polskiego, niezdolnego do czynu, „garść ludzi pełni swój obowiązek z zatwardziałością męczenników". A ową garścią nie są jacyś działacze potężni, genjalni pisarze, wielcy uczeni — lecz tylko uczciwi pracownicy. Każdy prawy człowiek, spełniający dobrze swe obowiązki na najskromniejszem nawet stanowisku, jest może tym właśnie, od którego prawości zależy byt narodu. Z takiego pojęcia uczciwej pracy wynika poczucie godności osobistej i odpowiedzialności; z tego też źródła wypływa wielka, promienna radość dla prawego człowieka, że sumiennem spełnianiem swych obowiązków wyrównuje zaniedbania i błędy innych.

Następnie autorka podkreśla wielkość ideału religijnego i narodowego. Z tego ostatniego ustępu zacytuję kilka zdań ze względu na ich uderzające zastosowanie do naszych czasów: „Świadomy stosunek każdego z nas do narodu jest całkowicie zależny od naszego wyrobienia duchowego. Jest to prawda przez wielu niedopatrzona.

Stosunek ten może mieć charakter s ł u ż b y, g w a ł t u, lub w y z y s k u. Kto umie podporządkować swoją osobę ideałowi, tego pracę zarówno w zakresie kultury materjalnej, jak duchowej, prześwietla idea s ł u ż b y n a r o d o w e j. Kto swych żądz, popędów, egoizmu nie nauczył się opanowywać i podporządkowywać czemuś wyższemu w sobie, ten, mając możność, będzie podporządkowywał wolę narodu — swojej, ten w innych warunkach będzie konsumował dobra narodowe, unikając wedle możności wszelkich ciężarów. Służyć ojczyźnie, wysuwając na pierwszy plan swoją osobę, jest obłudą, często bezwiedną, jak wiele tego rodzaju obłudnych złudzeń, znanych w psychologji pod nazwą k ł a m s t w ż y c i a u m y s ł o w e g o. Ale, żeby nie ulec temu złudzeniu, trzeba umieć swoją osobę w cień usuwać".

W drugiej części swej interesującej książki autorka omawia cały szereg zagadnień szkolnych: znaczenie klasy, regulamin, samorząd uczniowski, karność i t. d. Są to rzeczy ciekawe, ale jako zbyt specjalne nadają się do omówienia raczej w fachowych pismach pedagogicznych.

PIOTR KOWALSKI

NAUKA I LITERATURA

O JÓZEFIE WEYSSEHOFFIE JAKO POECIE PRZYRODY

Autor „Podfilipskiego" oraz „Sobola i Panny" nie może uskarżać się na obojętność krytyki względem siebie: pisano o nim dużo, zajmowano się żywo tematami jego utworów i podziwiano rodzaj jego artyzmu twórczego.

Wszyscy jednak, którzyśmy pisali o Weyssenhoffie w miarę ukazywania się jego utworów, spowiadaliśmy się przeważnie z własnych wrażeń, spieraliśmy się z powodu jego poglądów społecznych, chwaliliśmy go jako satyryka i subtelnego ironistę, bądź zachwycaliśmy się jego opisami swojskiej przyrody; w tem wszystkiem wszakże nie wychodziliśmy poza ramy mniej lub więcej trafnych impresyj, nie zbadaliśmy, słowem, należycie bodaj jednego jakiegoś zasadniczego składnika jego twórczości.

Pierwszą próbę w tej mierze dał dopiero dzisiaj ktoś z młodszych badaczów literatury, mianowicie Mieczysław Piszczkowski, w gruntownem studjum, zwracającem szczególniejszą uwagę na Weyssenhoffa jako na poetę przyrody. (Lwów 1930 r. Wydawnictwo Ossolineum, str. 116).

Próba ta — jest wzorowem opracowaniem danego tematu.

Wziąwszy za punkt wyjścia zasadę, iż głównym motywem artystycznego opracowania przyrody w dziele nowoczesnem jest krajobraz, krytyk podaje szczegółowemu rozbiorowi wszelkie rodzaje pejzażu w powieściach Weyssenhoffa, wykazując jak w tę lub inną jego postać wciela on rozmaitą treść natury, jak w każdym przypadku ujmuje jej piękno, jak sam je odczuwa i jak je suggeruje czytelnikowi. (Nie potrzeba tu długo mówić o tem, że z pojęciem krajobrazu łączy się także to wszystko, co jest stanem natury, wszelka rozmaitość zjawisk przyrody, te lub inne jej przeżycia).

Prowadząc analizę swoją po przez wszystkie powieści Weyssenhoffa, krytyk zwraca uwagę naszą na najbardziej

znamienne sposoby artystycznego opisu przyrody, używane przez autora, na bogactwo jego środków opisowych, na to, jak pojmuje związek człowieka z otaczającą naturą, wreszcie na stosunek samego twórcy do niej, do jej życia.

Z analizy tej wynika, że o ile w początkowych, a także w ostatnich utworach Weyssenhoffa natura jest naogół źródłem podniet prymitywnych, zmysłowych, to w tych, co pochodzą z epoki jego największej dojrzałości twórczej, w takich jak: „Unja", „Soból i Panna", „Puszcza" i t. d., poeta wyczuwa w niej coraz szerszą treść uczuciową, moralną oraz intelektualną. Wskutek tego ujęcie motywu przyrody staje się coraz bardziej wszechstronne, suggerując czytelnikowi rozległą skalę wzruszeń estetycznych.

We wczesnych utworach Weyssenhoffa przyroda ukazuje się jako motyw dekoracyjny, i właściwie dopiero w „Unji" — nie mówiąc już o „Sobolu i Pannie", „Puszczy" i t. p. — cała natura, przedstawiona z epicką przedmiotowością, jest zarazem przepojona potężnym liryzmem, niekiedy nabiera cech symbolu, pośrednio zaś wkracza, jako motyw pomocniczy w sedno akcji romansu.

Stosunek Weyssenhoffa do przyrody rzuca światło na charakter jego twórczości wogóle, krytyk słusznie zwraca na to uwagę, że poprzez satyrę społeczną Weyssenhoffa, zarówno jak przez jego poezję przyrody, snuje się podwójne pasmo usposobień psychicznych autora — mianowicie: aktywność i kwietyzm. W dziełach Weyssenhoffa powyższe na pozór sprzeczne, dążności psychiczne doskonale są sharmonizowane. Jego bohaterowie odznaczają się energją i zapałem do pracy, ale przytem nie wyrzekają się rozkoszy i szczęścia osobistego.

Krytyk konkluduje, że Weyssenhoff, jako filozof praktyczny, rozumny i gorący miłośnik swego narodu — dodajmy: miłośnik wogóle pełni życia — jest godnym kontynuatorem polskiej literatury moralizującej. Jako piewca słodyczy wrażeń zmysłowych i moralista w jednej osobie, przypomina autor „Puszczy" twórcę „Satyra", „Zgody", „Sobótki" i „Fraszek". Weyssenhoffa nazywa krytyk „najbujniejszym a zarazem najelegantszym" epikiem krajobrazu. Nie będziemy spierać się o powyższe przymiotniki — chociaż możnaby dorzucić do nich jeszcze parę innych — gdyż wyrażają one to, czem Weyssenhoff wydaje się być od pierwszego rzutu oka.

Ze skrupulatnego wszakże studjum naszego krytyka poznajemy go jako tego rodzaju epika, który opisuje naturę nietylko jak ktoś — co ma zdrowe zmysły i mózg niestępiony przez obce przyrodzie myślenie, lecz także jak człowiek, którego stosunek do niej wynika „z serca i z pamięci", a takim jest stosunek twórcy „Sobola i Panny" wogóle do życia naszego.

Wrażliwe, aczkolwiek dyskretne częstokroć, serce oraz niechybna pamięć, chroniąca autora od fałszu i przesady, ściśle wiążąca go z rzeczywistością — stanowią o rzetelności i wysokim poziomie humanizmu Weyssenhoffa.

Wśród rówieśnych sobie twórców jest on być może najwybitniej, najnaturalniej „ludzkim", w tem znaczeniu, że w tem wszystkiem, z czem zwraca się do nas, niema czczego zmyślenia, niema bezpłodnych zniekształceń rzeczywistości, a jest natomiast żywe doświadczenie, istotna, niepodrabiana jej poezja — którą się przenikamy, gdyż nie wnosi rozdźwięku między uczucia a myśli nasze, czujemy, iż jest w harmonji z naturą ludzką, uznajemy ją przeto za swoją.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

RUCH WYDAWNICZY

Wyszły znowu trzy tomy „Dzieł" Kasprowicza 17 — 19. W nich dwa tomy zawierają rzeczy dotąd w pismach zbiorowych nieogłaszane. „Utwory rozproszone", zebrane przez St. Kołaczkowskiego, wytworzyły nieznany dotąd ogółowi tom poezyj, mających wielką wartość, jeżeli chodzi o poznanie duszy Kasprowicza. Tom XIX rozpoczyna serję pism prozą, mieści on trzy rozprawy o Mickiewiczu i trzy o Lenartowiczu. Jeden z tomów ozdobiony doskonałym portretem poety z r. 1919, zrobionym przez W. Jarockiego. Wydanie bardzo staranne, doskonale oświetlone w każdym tomie mądremi objaśnieniami wydawcy Kołaczkowskiego.

*

Z pośród firm nakładowych polskich najwydatniej i najefektowniej w dziedzinie literatury pracuje Wydawnictwo Polskie w Poznaniu (R. Wegnera). Wydawnictwo Polskie doszło w sztuce kreowania typu książki do tych wyników, że każda jego książka na samo wejrzenie budzi respekt. Oczywiście czytelnika musi intrygować książka, gdy widzi, że wydawca sam do jej formy przywiązywał wagę, jak do dzieła sztuki. Staranność edycji pochlebia czytelnikowi, cóż dopiero autorowi. Książki produkowane w Warszawie, bez kwalifikowanej opieki ze strony wydawcy, przy opłakanym stanie sztuki drukarskiej, budzą lekceważenie.

Uwagę tę robimy mimochodem pod wrażeniem książek ostatnich wydawnictw krajoznawczych (Warszawa, Pomorze, Wielkopolska), książki Wasylewskiego „Na końcu języka", bibljoteki Laureatów Nobla, wreszcie ostatniej — w typie edycyj naukowych dużego formatu — prof. uniw. warsz. Andrzeja Tretiaka o „Lordzie Byronie", (Poznań 1930. Str. 400, oraz portrety i ilustracje).

Pierwsza to gruntowna w języku polskim monografja o poecie, który taki wpływ wywarł przed stu laty na naszych poetów. Przystępna dla każdego, daje możność zaznajomienia się z jedną z najciekawszych kart literatury światowej. Niebawem damy obszerniejszą o tem dziele wiadomość, skreśloną piórem fachowem, narazie zawiadamiamy tylko o jego pojawieniu się.

*

W dziedzinie historjografji sztuki polskiej praca Ludwika Ręgorowicza „Dzieje Krakowskiej Akademji sztuk pięknych".(Wyd. Zakładu Narod. im. Ossolińskich. Str. IV + 235), jest bardzo ważnym i cennym nabytkiem. Autor z właściwą sobie skrupulatnością i sumiennością historyka kreśli rozwój krakowskiej akademji sztuk pięknych od powstania do czasów najnowszych, uwydatniając na tem tle dolę i niedolę malarstwa polskiego.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Rzymski „Przegląd Literatur Słowiańskich" *(„Rivistadi Letterature Slave")* swój zeszyt za maj — czerwiec b. roku poświęca całkowicie Janowi Kochanowskiemu, a to z powodu obchodu czterechsetlecia jego urodzin. Zeszyt jubileuszowy otwiera wyborne, zwięzłe studjum prof. Giovanni'ego Maver'a, poświęcone życiu, dziełom oraz charakterystyce temperamentu twórczego poety. Następnie idą dwie rozprawki, mianowicie panny Mariny Bersano Begey p. t. *„Treni" e „Tumuli"* (autorka zestawia tu „Treny" Kochanowskiego z podobnym co do tematu łacińskim poematem włoskiego poety G. Pontano) i Wolfemga Giusti'ego o *„L'Adieu à la Pologne"* Desportes'a i odpowiedzi Kochanowskiego na ten utwór francuski *(„Gallo crocitanti")*. Dalej — umieszczono tu przekład włoski „Trenów", dokonany przez Enrico Damiani'ego. Tłumacz w osobnym artykule mówi o przekładach „Trenów" na obce języki (francuski, angielski, niemiecki, włoski), które poprzedziły jego tłumaczenie, nie podnosząc oczywiście wartości swojej pracy, musimy więc tu zauważyć, że jego przekład przewyższa wszelkie inne wiernością w oddaniu myśli oryginału, powagą nastroju oraz płynnością formy. Prócz tego znajdujemy tu jeszcze artykuł p. Cristiny Agosti Garosci o wydaniu niektórych utworów K. w „Bibljotece Narodowej" („Odprawa posłów greckich" „Pieśni i wybór innych wierszy"), a także recenzję książki prof. St. Windakiewicza o Kochanowskim, pióra prof. G. Maver'a *(„Una recente monografia su Jan Kochanowski e il rapporto tra il poeta polacco e la letteratura italiana")*. Ta właśnie recenzja, poświęcona dziełu jednego z najwybitniejszych naszych fachowców, świadczy wymownie, lepiej może niż wstępny szkic prof. Maver'a, jak autor jej panuje znakomicie nad przedmiotem i jak w sądach swoich jest samodzielnym. Wogóle całość zeszytu jest nietylko dowodem żywego zaiteresowania się naszych przyjaciół włoskich twórczością Kochanowskiego, lecz także daje miarę prawdziwie wysokiego poziomu ich studjów nad literaturą naszą.

SZTUKI PLASTYCZNE

UŁAN I DZIEWCZYNA

NIE warto podejmować sporów ze współczesnymi „ostatniego krzyku" teoretykami sztuki na tematy, któremi oni w obszernych rozprawach, jak ryby w sieciach, beznadziejnie się oplątują. Ci panowie Irzykowscy, Witkacowie, i Chwistki tak są wielosłowni, zawikłani, ciemni, tak przemądrzali i zarozumiali, tak zarazem w estetologji swej naiwni

a w myśleniu swojem — nieporadni, że praca udowodnienia im wszystkich błędów musiałaby na całe rozciągnąć się tomy. Nikt na taką stratę czasu własnego nie odważy się, pozostawiając trud niewdzięczny... samemu czasowi. Kronos pochłonie bez śladu autorów tych razem z ich błędami i czytelnikami. Brak im logiki, jasności i zwartości, więc żadną miarą ostać się nie mogą. Jest atoli pośród ich tematów jeden, który otrzymał od nich rozwiązanie, posiadające warunki na długotrwałe szerzenie się w umysłach ogółu, mianowicie — sprawa sztuki narodowej. Omówmy go tu w linjach zasadniczych.

Rozwiązanie, którem teoretycy wspomniani obdarzyli zagadnienie sztuki narodowej, tem na popularność się nadaje, że jest zwięzłe i plastyczne, narzucające się i drwiące Na każde postawienie rozważań o sztuce w płaszczyźnie narodu odpowiadają śmiechem — „ułan i dziewczyna", poczem natychmiast znikają. Magiczny ten zabieg, niezmiennie w pracach owych teoretyków używany, budzi w umysłach niewprawnych bezmiar pogardy dla samego zagadnienia, które, jakoby, nawet na pół grama uwagi nie zasługuje. A że łatwo go spamiętać i miło (bo z wyższością...) stosować, więc upowszechnił się i w pewnych sferach „inteligencji" nowej w powszednim pozostaje obiegu. Ów skrót myślowy w postaci „ułana i dziewczyny" nabrał cech symbolu dla sztuki narodowej wogóle, a zjadliwe i mroczne zadanie swoje spełnia szybciej i lepiej, niż najciekawsze, lecz... przydługie rozprawy. Nawet w granicach doświadczenia osobistego każdy wielokrotnie sprawdzić może powszechność tego chwytu i siłę jego suggestji. Przeciwnik, zaskoczony tak pewnym siebie, bezapelacyjnym, wzgardliwym i ordynarnym argumentem, najczęściej nie wie, co z nim począć (bo co w towarzystwie począć z głupstwem tak oczywistym?), więc milknie zdumiony, a już trzecia sekunda jego milczenia wystarczy, by uznać go za pobitego. Zwolennik ułańskiego argumentu zmienia wtedy pobłażliwie temat rozmowy i sprawa załatwiona. Pragnę tu w krótkości podać czytelnikom najpewniejszy sposób kładzenia takich zwolenników na obie łopatki.

Na ów z uśmieszkiem rzucony pseudo-argument „ułan i dziewczyna!" należy odrazu symbol ten, jako swój własny podchwycić i zawołać: „O, właśnie, właśnie! Ułan i dziewczyna — to treść najprzedniejszej sztuki wszystkich wieków i narodów!" Wtedy, o zakład idę, rozmówca wasz zdębieje i zacznie pytać — „co, jak, jakim sposobem?". A dalszy ciąg rozmowy pójdzie mniej więcej torem następującym.

Co mianowicie kryje się pod symbolem ułana i dziewczyny? Kryje się ogół tematów, czyli postaci, zdarzeń, scen i zwyczajów w danym narodzie istniejących a przez sztukę podejmowanych. Bez tego znaczenia symbol ów nie miałby sensu. Otóż ten ogół tematów narodowych stanowi z reguły przedmiotową treść sztuki wszystkich wieków i narodów. O każdym czasie każdy naród ma swoich ułanów i dziewczyny, które przebogatą, barwną i ożywczą treścią napełniają i urozmaicają największe arcydzieła sztuki. Bez ułana i dziewczyny sztuka na globie ziemskim nie miałaby warunków istnienia. Jeślibyśmy mieli w pogardę podawać polskie ułany i dziewczyny, to z równą słusznością należałoby nią obarczyć greckie, japońskie, assyryjskie, egipskie, induskie, peruwjańskie, francuskie, angielskie i tak dalej — od wieków i po wieki. A wtedy zostałby tylko jeden ułan i jedna dziewczyna — Onan i Sara. Na ten koniec schodzi panu Chwistkowi...

Weźmy dla przykładu to i owo dzieło sztuki znane powszechnie. Oto „Iljada". Ależ tu roi się od ułanów i dziewczyn! Od Achillesa do Tersytesa niema tu ani jednego „człowieka ogólnoludzkiego". Sami Grecy i Trojanie — i to z jednego określonego zdarzenia i pokolenia. Tak nigdzie nie mówiono, nie wierzono, nie ubierano się. To coś tak ściśle, ciasno narodowego, że trzeba naprzód dobrze znać historję grecką, żeby to do głębi pojąć i ocenić: — Ułan i dziewczyna! To samo zjawisko dokonywa się na przestrzeni całego rzeźbiarstwa greckiego, malarstwa, poezji i dramaturgji. Albo oto „Boska komedja". Odejmijmy jej wszystkie zdarzenia i postacie Italji owego czasu, do których trzeba tylu komentarzów, a co z Danta zostanie? Albo oto „Faust" Goetego. Czy może być coś mniej ogólno ludzkiego i bardziej niemieckiego? Tu każda postać jest ułanem albo dziewczyną o charakterze z gruntu narodowym. Nawet Mefisto jest Niemcem z krwi i kości.

Przejrzyjmy tak pokolei cały dorobek artystyczny ludzkości, łącznie z architekturą i muzyką, a przekonamy się naocznie, że pod względem tematycznym, w wyglądzie i charakterze postaci, zwyczajów, wierzeń składa się on wyłącznie z ułanów i dziewczyn Gdzie niema postaci, jak w muzyce, (czasem w liryce), w bryłach architektury, w zdobnictwie i sprzętarstwie, tam jest ton, nastrój, linja, kształt, barwa — o takich zestawieniach, które tylko w danem miejscu i czasie narodzić się mogły. Zresztą, chodzi nam tu tylko o stronę tematyczną, a tej, jak cała świadczy historja, dostarcza artyście zawsze jakiś, zwykle własny, a zrzadka — obcy naród, jako życiowy praartysta zbiorowy. Tym sposobem wzgardliwy argument, przeciw sztuce narodowej zwrócony, staje się najsilniejszym dla jej obrony argumentem. Ułan i dziewczyna — ta para... *fara da se!*

Przyznajmy, że już przy ogarku tak pobieżnego rozumowania drwina przyczepiona do ułana i dziewczyny bardzo głupią ma minę. A jej złość pieni się potajemnie, bo rozpoznana została w chyłkliwych swych dążeniach ku zgaszeniu w ludziach poczucia narodowego. Przy sposobności przeto i o tym zbiorowym praartyście życiowym pomyślmy, jako o współtwórcy każdego dzieła sztuki.

Naród, bezwiednie i stale, nie w dziełach sztuki, lecz w życiu bezpośredniem tworzący swoich ułanów i dziewczyny, jest bez przenośni, rzeczywistym współtwórcą każdego artysty. Nie zapuszczając się w rozumowania, zastąpmy je równie wartościowemi, a żywszemi przykładami. Usuńmy ze sztuki Wyspiańskiego wszystko, czego mu dostarczyła historja, a w części — obecność narodu polskiego, a z niektórych dzieł — narodu greckiego. Co wtedy ze sztuki genjalnego artysty zostanie? Może trochę lilij i ostów „ogólnoziemskich", „panglobowych", „ogólnie-ludzko-zrozumiałych". Ale i to wątpliwe. Odbierzmy sztuce Matejki, Szopena, Słowackiego, Mickiewicza, Sienkiewicza wszystko, co otrzymali od dziejów swojego narodu, a co z niej pozostanie? Uczyńmy to samo ze sztuką wielkich artystów każdego narodu, pozbawmy ich języka, który od narodu swego jako najprzedniejsze narzędzie muzyckie otrzymali, pozbawmy ich całej galerji postaci, typów, zwyczajów, przesądów, wierzeń, zdarzeń i t. d., i tak z narodowego kolorytu odbarwionych postawmy przed oczy panów Chwistków i Witkacych. Taki argument *ad oculos* przyprawi z pewnością obu o długotrwały „wstrząs bebechowy", po którym gruzy tylko z ich teorji zostaną.

Dlatego to ci panowie strzegą się rozwijania swojego argumentu z ułanem i dziewczyną. Zawsze raz tylko strzelą z niego na wiwat i zmykają w krzaki pieprzowe. I w ustnych i w pisanych swoich rozprawach uchylają się od rozumowania na temat sztuki narodowej pod pozorem, że to jest temat pod poziomem naukowości stojący. Oni — dostojni panowie nie mogą tak nisko się schylać. Wystarczy gdy sykną przez zęby: „ułan i dziewczyna!" i parskną śmiechem nosowym. Tak ich nauczył patrjarcha Firułkes, a on zna się na ludziach. On wie, że logika nie popłaca, że drwina przyczepiona do obrazka z pocztówki działa na mózgi ludzkie paraliżująco. A że, jak mawiał pewien dworski, „niektóre ludzie są bardzo głupie", a tych niektórych nie tak znów mało na świecie, więc i Firułkes ma poddostatkiem swoich wiernych w synagodze owej nowej estetologji polskiej.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

OFENSYWA

„MENKESIANA“

NAJBARDZIEJ napastniczym, zuchwałym, bezczelnym i zakłamanym publicystą „sanacji“ w obecnej fazie (lipiec roku 1930) jest kierowca polityczny „Przeglądu Wieczornego“ (firma Fryze) ex-pułkownik Bertold-Merwin *recte* Menkes ze Lwowa, brat Hermana Menkesa, Niemca, głównego filaru żydowskiego brukowca wiedeńskiego „*Neues Wiener Journal*“, przybocznego organu naszego posła w Wiedniu pana Badera oraz grupki żydowskich urzędników poselstwa koło niego zebranych. Otóż po zamachu majowym „Gazeta Warszawska“ w nr. 112 z 26 maja wystąpiła z ciekawemi rewelacjami o doktorze i majorze Menkesie. Pan ten był ongiś profesorem w „Oficerskiej Szkole Piechoty“ (Podchorążowic), usuniętym stamtąd przez pułkownika Paszkiewicza. W dniach rewolucyjnych ten pan Merwin wtargnął z tłumem do kancelarji komendanta Szkoły i tam, wedle relacji „Gazety Warszawskiej“, odbyło się otwieranie drzwi wytrychem w mieszkaniu pułk. Paszkiewicza, rewidowanie szaf, plądrowanie biurek i t. p. Po tej notatce major doktór Merwin Menkes złożył wizytę w redakcji i prosił układnie i mile o zamieszczenie sprostowania, byle bez komentarzy. Odmówiono i poradzono panu Menkesowi, aby wytoczył proces. Równocześnie probowała presji „Polska Zbrojna“, grożąc, że „pokrzywdzony zmuszony będzie sam sobie sprawiedliwość wymierzyć“.

Doktór major Menkes procesu nie wytoczył a „Gazeta Warszawska“ żadnego sprostowania nie umieściła. Ciekawe atoli są powody, z racji których rewolucjonista Menkes przedsiębrał tę wyprawę na gabinet pułkownika Paszkiewicza i dla których taki się zrobił z Menkesa sanator, Piłsudczyk i wróg *regime*'u przedmajowego.

Oto raport pułkownika Paszkiewicza, usuwający ze Szkoły Podchorążych p. Merwina-Menkesa:

Warszawa, 7 lutego 1926

Melduję, że mjr. Merwin Bertold n. e 6 p. p. wykładowca organizacji i administracji Oficerskiej Szkoły Piechoty nie jest w Szkole obecnie należycie wykorzystany, ma bowiem przeciętnie tygodniowo tylko 7 godzin zajęć. Ponieważ nie mam możności użyć wymienionego na innem stanowisku oddaję go do dyspozycji.

Motywuję to następująco: Mjr. Merwin, mając tygodniowo 7 godz. zajęć będzie miał w ciągu całego roku szkolnego tylko około 200 godzin. Jeżeli wziąć pod uwagę pobory majora, wynoszące około 650 złotych miesięcznie i opłatę nauczyciela z wyższem wykształceniem, wynoszącą 3.84 zł. za godzinę, to z zestawienia tego wynika, że na zapłacenie nauczyciela dochodzącego w ciągu całego roku wystarczy niecała półtoramiesięczna płaca majora. Ponadto mjr. Merwin w ciągu ubiegłego roku szkolnego jako kwatermistrz okazał się bardzo słaby, a przez szereg niedopatrzeń i zlekceważenie swych obowiązków przyczynił się do okradzenia kasy tutejszej komisji gospodarczej. Praca jego w ciągu bieżącego roku szkolnego na stanowisku wykładowcy nie daje rękojmi dobrych rezultatów na przyszłość. Przekładając powyższe proszę o przeniesienie mjr. Merwina ze Szkoły jako nienadającego się do pracy w szkolnictwie, proponując przydzielenie go do pułku, dla której nie posiada, gdyż w ciągu swej służby pracował jedynie w sztabach. Sprawę wykładów organizacji i administracji w Oficerskiej Szkole Piechoty ureguluję własnemi siłami.

Komendant Szkoły
(—) Paszkiewicz
Pułkownik Szt. Gen.

Od tego czasu „zasilający“ uprzednio chętnie „Kurjer Warszawski“ swemi literackiemi wyrobami doktór Menkes-Merwin zraził się do wszystkiego, co „endeckie“ i został odrazu stuprocentowym primobrygadzistą. Jako Piłsudczyk neofita, przesadza oczywiście i szarżuje w zelotyzmie i panegiryzmie. Jest przytem tak zaciekłym w swem rozbudzonem znów żydostwie, jak S. Hirschhorn w „Naszym Przeglądzie“, jak Szalom Asch i temu podobne zatyłe, obleśne i apoplektyczne Machabeje.

Typ tego gatunku politycznego publicysty doskonale uchwycił niemiecki nowelista Bruno Frank w swej „Politycznej noweli“. Rzecz dzieje się w Cannes, gdzie zjechali się dwaj wielcy politycy europejscy: kierujący Niemcami Carmer i francuski dyplomata Dorval (Briand?), dyskutujący nad pacyfikacją Europy. Obaj politycy mają sekretarzów żydów zasymilowanych. Niemiecki Erlangera, francuski François Blecha. P. Bertold Merwin-Menkes mocno przypomina tego zaciekłego, żrącego się o „wyższość“... kultury niemieckiej Erlangera sztucznem i kabotyńskiem natężeniem swego szowinizmu i fanatyczną obroną ojczyzny... Sanacji. Wydaje mu się przytem, że jest conajmniej „konfederatą barskim“, a jest sobie sezonowym najmitą przedsiębiorstwa prasowego, no i zawsze jednakowym... Menkesem *in summo gradu*.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Wybitny polityk „sanacyjny“, poseł z klubu B. B., tak oto pisze w wileńskiem „Słowie“ w artykule wstępnym p. t. „Konieczność manewru w polityce zagranicznej Polski“:

„... odpowiadając na roszczenia niemieckie do Pomorza prasa nasza drukuje artykuły o Mazurach pruskich. W tej metodzie... nie widzę jednak manewru dyplomatycznego w dobrym stylu... Wyciąganie na porządek dzienny sprawy Mazurów i fortyfikowania Pomorza — to są sposoby obrony korytarza, stojące na zupełnie jednakowym poziomie umiejętności dyplomatycznej, to znaczy na poziomie niewystarczającym“.

Cóż jednak byłoby „wystarczające“? Autor twierdzi, iż „inicjatywa „locarneńskiej“ polityki, podjęta przez Polskę w ten sposób, aby Francję w tej inicjatywie uprzedzić, byłaby jedyna“, a pisząc o „objawach porozumienia polsko-niemieckiego“ dodaje ze smętkiem: „niestety nie wiele ich było“...

Nareszcie widzimy jasno, jakich to, według statystów „sanacyjnych“ potrzeba „manewrów w polityce zagranicznej Polski“ i jaką treść ma w ich rozumieniu program... mocarstwowy.

*

Prasa „sanacyjna“ z uporem głosi obecnie pogląd, że o zwycięstwie polskiem w sierpniu r. 1920 nie rozstrzygnęła ani świetna ofensywa armji gen. Sikorskiego nad dolną Wisłą i Wkrą, ani bezpośrednia obrona przedmieść warszawskich, której przeprowadzenie przypadło w udziale armji gen. Latinika, ani wogóle cała działalność frontu północnego, dowodzonego przez gen. Józefa Hallera, ale jedynie rozpoczęty dn. 16 sierpnia wieczorem marsz t. zw. armji środkowej z linji Wieprza, wykonany pod bezpośrednim kierownictwem Naczelnego Wodza.

W związku z tem krążą uporczywe pogłoski, że w przeciwieństwie do reszty społeczeństwa, obchodzącego uroczyście dziesięciolecie Cudu Wisły, obóz „sanacyjny“ zamierza na wniosek marsz. Szymańskiego zorganizować dla swoich członków własny, specjalny obchód.. Cudu Wieprza.

*

Przemawiając na zebraniu politycznem w Chełmie, b. prezes Rady ministrów p. Świtalski oświadczył—jak donoszą dzienniki,—że „dziś należeć do sanacji to wielkie poświęcenie, ponieważ jest się narażonym na... straty pieniężne i prześladowania“.

P. Świtalski ma poniekąd słuszność. Powinien był jedynie dodać, że tym okrutnym „prześladowcą“, narażającym nieszczęśliwych „sanatorów“ na „straty pieniężne“ jest—jak wiadomo — Najwyższa Izba Kontroli Państwa.

*

Warszawiak dzisiejszy, zmęczony przykrą atmosferą polityczną w kraju, pragnąłby, chociażby w kinematografie, zapomnieć na kilka godzin o bieżącej politycznej aktualności. Przegląda repertuar. W kinie „Muza“ wyświetlają obraz: „Ubóstwiany Sfinks“, równocześnie zaś, w kinie „Rena“ — sensacyjny dramat: „Pod maską bandyty“...

Nie sposób oderwać się od aktualnych tematów!

*

W „Kurjerze Porannym“ jakiś p. Klin od pewnego czasu codziennie pisuje aktualno-wzniosłe wierszyki. Oto przykład, zacytowany z pamięci:

„Młode jastrząbki, mając ambicje gorące,
Prosiły Orła: — Wodzu! chcemy lecieć w słońce!..
I Orzeł, chwaląc zapał młodziutkich skrzydlaczy,
Tajemnicę im lotu górnego tłumaczy,
I świecąc im potężnym woli swej [przykładem
Stawia przed sobą talerz...

Ah, pardon! W oryginale nie jest, zdaje się, wspomniane o talerzu... Ale to napewno tylko zapomnienie, karygodne zapomnienie. Wszak w „Kurjerze Porannym“ wiedzą chyba najlepiej, że „talerz“ jest ulubionem, klasycznem niejako „ćwiczeniem woli“, uprawianem przez orle duchy...

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.
Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.